









WYDAWNICTWO BŁUSZCZU

ZOFJA WOJNAROWSKA

POEZJE

Warszawa—Skład główny w księ-  
garni Gebethnera i Wolffa — 1913

<http://rcin.org.pl>



POEZJE





ZOFJA WOJNAROWSKA

POEZJE

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA—WYDAWNICTWO „BLUSZCZU“  
Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa  
1913



---

---

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA  
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

---

---

3679  
<http://rcin.org.pl>

# Tezy i antytezy.

Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego

## INTRODUKCJA.

Kamienie młyńskie toczę,  
pot mi oczy zalewa.  
Wichr się z lasem szamocze,  
odwieczne łamie drzewa —  
przez błyskawic warkocze  
leci gromów ulewa.

Kamienie młyńskie toczę —  
wszędzie mi równa droga;  
wzrok potem znojnym mroczę,  
czy z Bogiem, czy bez Boga.  
Nad święte dni robocze  
świeci nieszczęść pożoga.

Kamienie młyńskie toczę —  
nikt mi tego nie każe.  
Gdzie wód jasnych przezrocze  
czekają mnie młynarze...  
Kto ich przysłał, nie zoczę  
w słońc wschodzących pożarze.



## TEZY.

### I.

Roztworzę duszę moją wam,  
pod spojrzeń podam strzały,  
niechże ją waszych sądów młot  
rozkruszy na kawały!

A wy mi jeno chcejcie rzec,  
czy są na świecie leki,  
coby zgoiły piekło ran  
krwawiących wieczne wieki.

A wy mi jeno chcejcie rzec,  
kto winien takiej męce,  
że, pragnąc niebo w sercu mieć  
wciąż grzechem plamię ręce?

A wy mi jeno chcejcie rzec,  
czy jest na świecie droga,  
po której człowiek może zbiedz  
od siebie aż do Boga?

### II.

Gdyby mi iść daleko, hen!  
Za rzeki i za morza,  
kędy się pośród lodów skrzy  
północna jasna zorza;

Gdyby mi iść w pustyni skwar,  
gdzie wichur wznosi skrzydła,  
kędy wędrowczy mylą krok  
obłądne malowidła;  
gdyby mi iść w krainę mgieł,  
na siwe górskie szczyty,  
gdzie tylko hardy orzeł śni  
o drodze nad błękity, —  
Czyliż nie będę z wami wciąż  
w dzień jasny i w noc ciemną,  
jeżeli pamięć tamtych dni  
powlecze się wraz ze mną?

III.

Miłuję ciebie, świecie zły,  
miłuję duszą całą,  
za to, żeś rozwiął wszystkie sny,  
za to, żeś pił najczystsze łyżę  
tą cichą nocą białą.

Miłuję ciebie, świecie zły,  
miłuję każdym tchnieniem  
za to, żeś wygrał krwawy bój  
i niewolniczy dał mi strój  
z żałobnym obramieniem.

Jak nie miłować ciebie, jak,  
gdy z tobą skarby moje:  
myśl, co się rwała w gwiezdny szlak,  
miłości purpurowy mak  
i łez najświętszych zdroje.



IV.

Jedyny duchu bratni mój,  
kochany Ty, kochany!  
Ty mnie nie wołaj nigdy już —  
ni przez jesiennych mgieł tumany,  
ni przez słoneczny krąg świetlany,  
ni przez kielichy białych róż.

Ty mnie nie wołaj nigdy już —  
posłuchać cię nie mogę...  
Wsączył się w ducha mego jad —  
na obłąkaną, ciemną drogę  
idę przez mękę i przez trwogę,  
przez ten niewierny idę świat.

Jedyny duchu bratni mój,  
o drogi, o mój drogi!  
Ty mnie nie wołaj nigdy już,  
bo mam nad czołem gwiazdę trwogi,  
bo strzaskał grom mych świątyń progi,—  
ołtarze toną w falach mórz.

V.

Jak to rozkosznie musi być,  
kiedy pogasną światła zórz,  
słodką truciznę wolno pić  
z myślą, że oto koniec już!  
Jak to rozkosznie musi być,  
kiedy na pola zejdzie mrok,  
słuchać, jak Parka zrywa nic,  
wyczuwać śmierci wolny krok!

I z warg stygnących rzucić w mgły  
ostatni krzyk i zmaćć noc:  
oto odchodzę, świecie zły,  
i kędyż twa nademną moc?

VI.

Wszedł w mej duszy buntu chwast,  
krzewi się bujnie — jest mi źle,  
nie widzę złotych oczu gwiazd,  
i dzień mi każdy pustką tchnie.

Wszedł w mej duszy buntu chwast,  
bo oto cierpię łańcuch lat,  
bo widzę tyle szczęsnych gniazd,  
a moje śnieżny wicher skradł.

Na co mi dusza pełna dum,  
na co mi pieśni srebrny ton,  
kiedy ją głuszy wichrów szum,  
a wtórzy jej cmentarny dzwon?

Na co mi życia ciężki trud,  
na co mi czyny sercem kuć,  
gdy wokół mgła i noc i chłód,  
a nikt nie woła: w słońce wróć!

Wszedł w mej duszy buntu chwast...  
Kędyż jest kosiarz, boży człek,  
coby to zielsko w świetle gwiazd  
miłości srebrną kosą zsiekł?

VII.

Upadła dusza moja  
u progu rajskich wrót...  
oliwne szumią gaje  
i szemrze srebro wód,

i złote wschodzi słońce  
na jasnych niebios szlak —  
upadła dusza moja  
jak mrący z zimna ptak.

Kapłani! o kapłani!  
gdzie mądrość waszych ksiąg!  
Czemuż nie umie żaden  
wyciągnąć ku mnie rąk!

Czemuż nie umie żaden  
podźwignąć w doli złej?  
Wy przecie sercem dumni,  
a hasłem waszem: chciej!

Oliwne szumią gaje  
i wiosną przestwór tchnie,  
i słońca kwiat rozkwita, —  
a chłód zabija mnie.

Kapłani! o, kapłani!  
gdzie waszych uczuć żar?  
Czy w ustach jeno płonął?  
Jak błędny ogień zmarł?

Gdzie waszych rad kordjały?  
Czy wsiąkły w złoto kruzż?  
Czy kruże wyparł z dłoni  
ofiarny krwawy nóż?

Kamienne stoją bogi,  
kamienni przy nich wyl...  
Oliwne szumią gaje  
i gorzkie płyną łzy.

### VIII.

I oddam życie, słyszycie Wy?  
i szczęście dam w ofierze, —  
lecz niech się Wasze ziszczą sny,  
lecz Wy zostańcie w wierze.

I pójdę z męką przeze świat,  
niech serce będzie niczyje,  
lecz niechaj w ciemne okna chat  
strumieniem światło bije.

Będę się błakać jak zwiędły liść,  
bez celu i bez zorzy,  
jeno Wy idźcie tam, kędy iść  
powinien naród Boży.

---

Ofiarna miłość—kwietny puch  
i męka bezowocna,  
bo wiecznie jeden życia ruch,  
bo ręka losu mocna.

Oto mi mojej doli młot,  
połamał skrzydła ducha,  
a Wam się żaden nie śni wzlot,  
a noc nad Wami głucha.

W tęsknocie wielkiej płyną dnie,  
w tęsknocie przyszłość cała —  
ofiarność nic nie dała mnie  
i Wam też nic nie dała.

*1905 Kaźmierz nad/W.*



## ANTYTEZY.

### I.

Moją jest winą, że słońca twarz złotą  
już mi zachodnie zorze zagasiły,  
że tak z tęsknotą zostanę w noc ciemną:  
pierwej niż słońce mrze ten, kto ma siły.

Moją jest winą, że czara iskrząca  
jednym toastem wysuszona do dna:  
może bez końca czerpać wino życia  
ten, czyja dusza wiecznie życia głodna.

Moją jest winą, że mrę na łańcuchu,  
że mnie od targań krwawe ręce boją:  
bo może w duchu wolnym być na wieki,  
ten, kto sam siebie nie zwiąże niewolą.

### II.

Jeśli w zaświatach strumień Lety płynie,  
nawet za cenę nieba go ominę,  
we wspomnień całun, jak w płaszcz się owinę,  
w nim błędząc cicho po zmarłych krainie.

Pamiętać będę każdy słońca promień  
nieledwie każdy z dróg przebytych kamień  
i nosić w sercu blizny od rozranień  
i wiecznie żywy miłowania płomień.

Choć z ust nie zdejmę milczenia pieczęci,  
obrócę ku wam wzrok życiem jarzący —  
budzić was będzie mój duch czuwający  
i z wami czuwać w wieczystej pamięci.

### III.

Jestem jak rolnik w upalny dzień letni,  
co legł odpocząć pod lipą kwietnianą  
w błękit zwrócony twarzą zadumaną;  
złote mu zboże gra na kłosów fletni,  
a wzrok nadzieją plonu się szlachetni.

W perłach uznojeń wiosną i jesienią  
chodził i zorzą świecący wieczorną,  
wracał do chaty, ziemią pachnąc orną,  
lemiesz strudzony stawiając przed sienią —  
teraz mu kłosy wdzięczą się i plenią.

Umiłowanaś mi jest, rolo życia:  
jako chwast rzucam to, co nie jest wieczne  
i jasnym wzrokiem rzeczy ostateczne  
garnę i widzę że od upowicia  
wszystkie mi górne spełniają się śnicia.



Łzy się stężają w gwiazdne kłoszbiory  
i żadne z westchnień nie zgasło daremnie,  
jeżeli wzięło cząstkę Boga ze mnie,—  
teraz już tylko czekam plonów pory,  
nim skośne blaski padną na ugory.

#### IV.

Już głosu twego nigdy nie posłyszę,  
zmartwiały echa do skał przytulone,  
listki z róż lecą jako łzy czerwone,  
szelestem nikłym zamacają ciszę...  
a moim sercem wicher—żał nie kołysz!

Nademną błękit nieba niezmacony,  
we mnie pogoda górskiego jeziora, —  
cieniem się stanie moje dziś jak wczora —  
i jak spokojne zżętych pól zagony,  
spokojny duch mój i nierozżalony.

Możesz mnie wołać chłodnych wichrów jękiem,  
piorunu błyskiem i deszczu szelestem —  
w cichości mojej jak w świątyni jestem...  
Nad róż płonących pochylam się pękiem —  
i na popioły spojrzę się z bezlękiem.

#### V.

Chociaż ucieka z smutnych warg  
jak motyl z róży złoty śmiech,  
nie wraca nawet echem ech  
w codziennych dni jarmarczny targ:

po szalonemu pragnę śnić,  
że wiecznym może śmiech ten być.

Chociaż mi serce szarpie ból,  
prastary ból, drapieżny sęp,  
na krwawy je rozrywa strzęp, —  
cmentarnych nie chcę ciszy pół:  
po szalonemu pragnę śnić,  
że tylko mnie czymś wiecznym być.

Chociaż mnie siecze losu knut,  
iż w niewolnictwie życia trwam,  
nie chcę u śmierci wołać bram,  
aby się stał wyzwolin cud:  
po szalonemu będę śnić,  
że dla zwycięstwa trzeba żyć.

## VI.

Nie dla nagrody na turnieje krwawe  
pójdę! — o laury złożone nie stoję!  
Temu, co serce ukochało moje,  
na służebnicę można oddać Sławę.

Nie czekam nocy, ukojnych słodyczą  
letniego wiatru, pod polnym namiotem, —  
duszy swej żadnym nie przekupię złotem  
i rąk nie skalam zwycięzców zdobyczą.

I może ze mną serce nie iść żadne  
w wichrowe noce przez pola cmentarne —  
ja serca wszystkie do siebie przygarne,  
gdy dla nich świtu płomieniem zawładnę.

VII.

Po co żyję? Z tą troską budzę się co rano  
i z tą myślą wieczorem na spoczynek kładę.  
Zmienić życie w nić złotą perłami nizaną,  
w drogę mleczną rosami gwiazd srebrnych usianą,  
w burzę, co świat odnowi, w błyskawic kaskadę!

Wąty kwiat polnej róży na krzewie rozkwita,  
przystrojony w bladego rumieńca niewinność;  
uśmiechnął się i o nic słońca się nie pyta;  
w wielkiej pracy natury małeńki najmita  
kwitnie i listki gubi, pełniąc swą powinność.

Ucz się, mój duchu dumny i przez dumę chory,  
ucz się od tego kwiecica w cichości rozkwitać,  
brać na siebie od słońca jutrzeńne kolory,  
błyszcząc rosą w gwiaździste tajemnic wieczory,  
iść do celu pokornie i o cel nie pytać.

VIII.

Wiem, że oczy wypatrzę w tej ciemni,  
nim do kraju zorzy się dowlokę;  
lecz się tężcie w te mgły i pomroke,  
oczy moje, gońcowie daremni —  
dla mnie.

Wiem, że stopy zakrwawię i znużę  
i u celu bez życia upadnę;  
lecz nim ciało zastygnie bezwładne,  
ślad ścieżyny wyżłobię w marmurze —  
dla nich.

Wiem, że nigdy nie spotkam się z tobą,  
bo po drogach równoległych kroczym  
i ku sercom swym nawet nie zboczym,—  
niechże kwitnie tak dola żałobą—  
dla nas.

Lecz wiem o tem—mówiło mi głosem  
pełnym Boga serce moje własne,  
że przez ciemność droga w światy jasne,  
że się musim położyć pokosem —  
dla nich.

\* \* \*

Los tu rządzi, Ananke —  
droga z dróg się wymota —  
przed milczącą kapłankę  
złożym plony żywota.

I zasuniem się w ciszę,  
za letejskie strumienie, —  
na grobowcach napisze  
czas: wieczyste milczenie!

Niechże serce nie płacze,  
ani gwiazdom zazdrości —  
dni skończywszy tułacze  
im też przepaść w nicości!

Lecz przemierzcie te głębie  
nie rozumem — miłością:  
śmierć ma skrzydła gołębie,  
nicość nie jest nicością.

*Kraków, 1910.*

# Witraże.



## MAGDALENA IMMORTALIS.

### I.

Nie patrz tak!... cichnie mi serce... nie bije!...  
W jakiś się niebyt zatapiam i gasnę...  
Tak mgła czuć musi, gdy ją słońce pije...  
Nie patrz, — ach, nazbyt mi twe oczy jasne!...

Wieki w nich tamte... jakieś krwawe żarze,  
błyski i ogień — szum morza, blask morza!  
Ja się tej mojej przeszłości przerażę,  
bo mi tak groźna, jak groźna twarz Boża.

Odeszłam kędyś... tak pomnę... (myśl rwie się  
i znów się wiąże w błyskawiczne znaki!)  
Odeszłam, oczy zgubiłam w bezkresie...  
Szłam w srebrne noce przez szafirów szlaki...

Szłam hen, do kresów, na bezdenne tonie,  
przez czyjeś serca szłam żywe, krwawiące,  
a własne miałam z lodul... Jak mnie chłonie  
Twój wzrok!... Ach, odwróć te oczy jarzące!...

Wszystkoż mam pomnieć! — Nie! nie chcę, na Boga...  
Dość mi tej chwili, ta okupia winy —  
mam teraz serce, a szarpie nim trwoga,  
ach, bo mi jesteś tak jak Bóg—jedyny!...



II.

Nawet ty mojej nie zrozumiesz duszy,  
nawet ty serca mi nie przejrzysz do dna —  
wieków dla tego tyle i katuszy,  
żem, jak ptak w sieci, a jak wichr swobodna.

Powiem ci wiele, już rzekłam bez miary  
pod wzroku twego sądem i przemocą,  
lecz jednać kropla spadła z pełnej czary,  
a wszystkie da mnie pienia się i złocą.

Kochałam zawsze, wie o tem Astarta  
świątynia Westy i ofiarne stosy,  
ja—monarchini, gwiezdnych królestw warta,  
ja—niewolnica, wleczona za włosy.

Ach, słysz i zadrzyj! W piersi mojej płonie  
ogień straszliwy, mógłby objąć światy —  
jednego serca chce i walczy o nie,  
dlatego gwiazdy gasi, pali kwiaty.

A nie znalazłam dotąd!... Czasem błysną  
w źrenicach jakichś wymarzone błyski,  
wtedy mi braknie tchu, ramiona zwisną  
i człowiek taki sercu memu blizki, —

na chwilę drogi... Tak był on... tak oni...  
Och, jakaż męka szyderczego piekła  
za gwiezdną marą w wiecznej trwać pogoni —  
marą, co znikła, a pierwej urzekła!...



Tamtemu czoło rozwidnione dała,  
a potem z czoła zbiegła jak miesięczny  
blask z lic posągu, a jam włosy rwała,  
że mi tak zwykły jest, a tak był wdzięczny.

Na tamte usta blask swego uśmiechu  
kładła, jak słońce kładzie blask na róże, —  
z za ust tych świat mi rozbłyskał bez grzechu,  
jako łan lilji w zórz wschodnich purpurze.  
I znów czar gasnął przed dotknięciem czaru.  
A ty masz oczy te!... W błyskawic pędzie  
wszystkie tu gwiazdy z niebiosów bezmiaru  
lecą i tonę w nich!... Cóż teraz będzie?...

### III.

Miej-że ty litość, nie mień się we wzroku,  
niechaj wciąż na mnie płynie prąd słoneczny,  
niech się jak Dafne przejrzę w tym potoku  
i skamienieję dla ciebie w laur wieczny.

Z głębin istnienia wstaje głos echowy,  
może cień echa,—lecz ja go tak słyszę,  
jakby u gromów zaczerpnął wymowy,  
jakby w gwar piekła rozmacił mi ciszę.

Jeżeli oczy odwrócisz—mnie stracisz!  
Ten głos mnie skaże na nowe stulecie  
tułactwa, zdala od błękitnych zacisz,  
jak zeszcłe ziarno w nicość mnie odmiecie.

Jeżeli oczy zagasisz—zasądzisz  
mnie znów na mękę rozpacznej nadziei  
i kamienności uczucia pobłądzisz,  
choć iść mniemasz w słonecznej zawiej

Zbłądzisz i w drodze moje łzy ci staną,  
jako jeziora z umarłemi wody,  
spojrzysz się w czasie twarzą zadumaną,  
a ja się zmienię we widm korowody.

Będą na ciebie te koła widmowe  
iść jak mgieł zwały, jak fale olbrzymie,  
a ty wyciągniesz ręce ponad głowę  
i na odkłęcie zechcesz rzec me imię...

Lecz imię moje będzie ci nieznane!...  
Dziś tylko możesz wziąć ślub z tajemnicą,  
dzisiaj je możesz wkląć w dźwięki harfiane,  
gdy się uśmiecham za słońca przyłbicą.

Miejże ty litość dla mnie i dla siebie, —  
bądź ty mi... Koła zwały się ogniste  
i w wir bezdenny mnie ciągną i ciebie, —  
więc wołam w męce — bądź ty mi — jak Chrystel...

## MAHADEWA.

Ogień i rozpacz upadły we mnie,  
rzucone dłonią prawdy wszechmocną,  
buchnęły ogniem, przedarły ciemnie,  
wzrok miałem sępa, a duszę mocną.

Rozpacz zdławiłem u nóg bez jęku,  
choć tchem mych piersi pragnęła ożyć  
i piorunową moc czując w ręku,  
pragnąłem niszczyć, żeby dać tworzyć.

W pierś wziętem spokój kamiennych bogów  
i płomienistość słońca Egiptu —  
szedłem podsycać ogień trójnogów,  
drąc wiekowego pierś manuskryptu.

Z śmiertelnym skwirem orły skrwawione  
na wież wysmukłych usiadły szczytach —  
z królewskich grobów zdarłem zasłonę,  
czytając przeszłość w prochu błękitach.

Owiał mnie ostry zapach zgnilizny,  
błysły mi duchy królów męczenne,  
gwizdnąłem z grobów na orły senne, —  
krew miałem w piórach, na piersiach blizny.

Brały na skrzydła szczypty popiołu  
i na nieżyzne leciały niwy  
zapładniać ziemię — z nimi pospołu  
jam leciał w chmurach groźny i żywy.

A w drodze dębów łamałem szczyty  
i świątyń fryzy i kapitele,  
ostrzyłem miecz mój z błysków uwity  
na cudnej Wenus różanym ciele.

Kruszył się marmur w świątyń pożarze,  
na stos rzucałem mistrzowskie płótna—  
widziałem mrące z rozpaczy twarze,  
a dusza moja nie była smutna.

Myśl miałem wielką — niechaj tworzeniem  
wszystkie się duchy z bólu rozhardzą!—  
Możem był śmiercią, może istnieniem —  
możem nie kochał, może zabardzo.

## SANCTUS AUGUSTINUS.

Nad głębią morza trwam w zadumie,  
ku brzegom fale spieszą —  
w prastarym myśli moich tumie  
i one śnią i grzeszą.

Na falach dziwne płyną zwiody:  
w syryjskich purpur zwałach —  
szafirookie nereidy  
o śnieżnych, gibkich ciałach.

To słońce morską toń pąsowi!...  
To wicher głębie wzdymał!...  
Odwracam głowę ku wschodowi,  
tęsknemi lśnię oczyma.

Zmierzchowa szarość rozpostarta  
na całym nieba skłonie —  
kurtyna z mgieł w teatrze czarta,  
gwiazd krwawych za nią tonie.

Gdzieś był Ty, Boże, kiedy dreszcze  
pożądań w ziemi mózgu  
pożarem skwitły w iskier deszcze  
we krwi braterskiej bluzgu?

Kim jesteś, Boże Ty Troisty?  
Twe wzroki grom przesłania,  
Twe imię gwiazd lecących świsty  
w czarności pustej trwania.

Rozkoszy obrzask mam na wargach  
i czad znużenia w kościach,  
omdlałem w długich z życiem targach  
w cypryjskich win wonnościach.

Dziewicznych ust upojne maki  
istności Twojej świadki,  
lecz wędły w sercu czaru znaki  
jako makowe płatki

Uczonych pisan pergaminy,  
istności Twojej runy,  
od myśli mych wężowej śliny  
zmieniły się w piołuny...

Nad głębią morza trwam w dumaniu,  
szelestne fale płyną  
o zmierzchu dnia, o dnia zaraniu  
i nigdy nie przeminą...

Kim jesteś, Boże Ty Troisty?  
Kto Cię z nicości wznosił?...

—————  
Nad głębią morza szafir czysty  
gwiazdami się rozkłosił...

Kim jesteś, Boże Ty Troisty?  
Jakiej Tve serce miary?...

....Szlak mlecznej drogi promienisty  
rozesał się w bezmiary.

Jakoweś granie w fal poszumie,  
bijących w srebrne skrzydła —  
Nad brzegiem morza trwam w zadumie  
w anielskie pojman sid'a.

Kim jesteś, Boże Ty Troisty  
i kędy Twoje trwanie?  
....Ocean światła wiekuisty  
i gwiazd i fal szeptanie.

*Kraków, 1910.*





# Ogniwa.

„Któż cię mądrości ma? kto dzisiaj szuka  
pod korą ciała pierwszej ciał przyczyny?“

*Słowacki.*



I.

Byłam greczynką. Ze snu co poranka  
fal srebrnopiennych budziły mnie szumy;  
szłam wtedy zrywać kwiaty dla kochanka,  
pełna słonecznej o szczęściu zadumy.

Dla Afrodyty więź mirtu i róży  
w powinnym darze niosłam co wieczora, —  
odtąd wiekowej czas dopełnił kruży,  
a mnie się zdaje, że to było wczora.

Bioder mi śnieżna nie więziła szata  
zawojem luźnym puszczone z ramienia;  
myśl, jako mewa biała i skrzydlata  
znała pierś morza i słońca olśnienia.

Apollo grać mnie nauczył na lirze,  
w perłowej ramie złote miała struny,—  
szłam z nią nocami po niebios szafirze  
i w słońc wchodzących patrzyłam się łuny.

Szłam z nią o świcie przez gaje oliwne  
w szepty zefiru z liśćmi zasłuchana,  
witałam pieśnią słońce wszystkożywne,  
a każda struna sercem była grana.

Płonęłam co dnia pośłoneczną zorzą,  
tajemnic nocy czekając z tęsknotą —  
gwiazd, co na czole nieba się ułożą  
w koronę wielką błękitną i złotą.

. . . . .  
. . . . .

Dzisiaj mam piętno męczeństwa na czole,  
w jarzmie się wiotka pochyliła kibić,  
tylko mej duszy nie dałam w niewolę,  
nie dałam dłoni do łańcucha przybić.

Tylko mi mojej liry nie wydarto,  
i gdy ku ziemi ból pochyła skronie,  
dla mej ojczyzny przed zdumioną wartą  
pieśń wolnej duszy wolną ręką dzwonię.

## II.

Miałam przepyszne włosy czarne lśniące,  
żrenice ciemne jak senne wulkany,  
usta świeżością granatu płonące,  
łono śnieżyste jako morskie piany;  
nie miałam duszy — za to więc w nagrodę  
dano to ciało przedziwne i młode.

Przyszedłeś do mnie o wieczornej porze,  
kiedym na łożu z purpury drzemała, —  
ujrzałeś srebrną w księżycu kolorze  
i zachwycony krasą mego ciała,  
nie dbając o to, że biała pierś pusta,  
chciwie ponsowe całowałeś usta.

. . . . .  
. . . . .

Więc dzisiaj za to, duchom powrócona,  
ja nienawidzę ciebie, tobą gardzę;  
daremno tęskne wyciągasz ramiona  
i do nóg padasz w płakaniu i skardze;  
nigdy mój uśmiech łez twych nie osuszy —  
tyś mnie całował, choć nie miałam duszy.

### III.

Jako Hestji kapłankę wielbili mnie ludzie  
i pochylali czoła przedemną wysokie,  
Hestjo! ja wtedy twojej szydziłam obłudzie,  
szydersko patrząc w oczy z szafirów głębokie.

Nienawidziłam szat mych—nadto były śnieżne;  
Złorzeczyłam płomieni ruchliwej purpurze,  
świat mi z za nich wyblyskał jak ciało lubieżne  
praksytelowem dżutem wykute w marmurze.

Usta moje się rwały do upojeń czary —  
w noc stróżowania ręce uścisku spragnione  
jak dwa białe płomienie chwyciły filary  
i opadały drętwe, zimnem przerażone.

Hestjo! ja chciałam wtedy ciebie z piedestału  
zrzucić mych piersi pchnięciem, chciałam twoją głowę  
u nóg widzieć strzaskaną i w przystępie szału  
zębami wydrzeć z orbit oczy szafirowe.

Nie wzruszoną mi oylaś, boska i kamienna!  
zalewałaś mi oczy blaskiem twej pochodni,  
i schodził na mnie spokój i niemoc trumienna  
i tęsknota za widmem niespełnionej zbrodni.

. . . . .  
. . . . .

A dziś, gdy widzę ciebie z ołtarza zrzuconą  
a dziś, kiedy cię wloką skrwaw en siepacze,  
z głośnym rąk załamaniem, szatą rozwichrzoną  
biegnę za tobą, Hestjo—płaczę, płaczę, płaczę!...

#### IV.

Widzisz tę bliznę białą na moim ramieniu?  
to znamię niewolnictwa; wieki go nie starły,  
napróżno dłoń zmoczona w Letejskim strumieniu  
kładałam na nie—te znaki do ducha przywarły.

Złotowłosą Słowiankę znaczyłeś że'azem,  
a miałeś taką piękność w okrutnych źrenicach,  
że cię nienawidziłam i kochałam razem  
w rumieńców i pobladnięć stojąc tajemnicach.

I czekałam, aż przyjdzie chwila upragniona,  
że roziskrzywszy oczy piorunowym błyskiem,  
porwiesz mnie, wpółomdlałą w pragnące ramiona  
i stłumisz bicie serca szalonym uściskiem.

I czekałam daremnie w progu twej komnaty  
ze złożonemi kornie na piersiach rękami —  
gdyby łyzy w perły zmienić, wszystkie twoje szaty  
miałybyś jedna przy drugiej usiane perłami.

. . . . .  
I dziś czekam jak wtedy, niewolnica cicha  
napiętnowana mocy przedwiecznej żelazem,  
i dziś, jako i wtedy, twój wzrok mnie odpycha,  
i dziś ja nienawidzę i kocham cię razem.

V.

Posąg Perkuna z piersią pękniętą  
w święconym gaju upadł na twarz —  
krzyż święcił wielkie zwycięstwa święto...  
Jakażeś, lutnio, że jeszcze grasz?

Opadły z świętych dębów korony,  
przygniotły węzów błyszczących rój,  
z gontyny spojrział krzyż w cztery strony...  
I tyś nie umarł, o duchu mój?

Kapłani białe szaty rozdarli,  
żywotów swoich stargali nic,  
jak ich bogowie wszyscy pomarli,  
a ty chcesz, serce, kochać i żyć?

. . . . .  
. . . . .

Konała dusza w męczarni bogów,  
widząc ich bezmoc pobiegła wzwyż  
wciąż u nowej świątyni progów  
Nowego Boga całuje krzyż.

VI.

W gontynie chłód wilgotny,  
i woń schnącego ziela,  
znicza błysk migotny  
i chmurne wzroki Lela.

Bóg słońca swe kędziory  
przerzuca przez zawory,  
bóg jasny to i młody,  
bóg żaru i swobody!...

Obietnic siła pryska,  
olśnione gasną oczy —  
hej! leczę w uroczyska...  
Hej! las się kręgiem toczy.

Padajcież lniane szatki  
na trawy i na kwiatki —  
piersiami gąszcz rozgarnę  
w południe lata skwarne.

W paprotnej tonę głębi,  
różana, przetowłosa;  
kukułka dziewostębi,  
poranna wyszła rosa.

I wicher przyleciał żarny,  
południa Poświst skwarny.  
O, tulże mnie ramiony,  
junaku mój lubiony!

Hej! wicher przyleciał żarny —  
gontynę niech rozkradnie,  
niech gaśnie znicz ofiarny  
i Lel niech się zapadnie.

— — — — —  
O wieki, zdejmcież ze mnie  
ten żar, co się tajemnie  
od tamtej chwili ostał..



VII.

Całunem czarnym mnie nakryli,  
„Requiescat” śpiewał ksiądz nade mną —  
duch nie zapomni onej chwili,  
było mi ciemno, bardzo ciemno.

Obcięli włosów bujne sploty,  
na głowę kornet kładli śnieżny —  
och, nie zapomnieć mi tęsknoty  
jako przestrzeni toń bezbrzeżnej.

Powiedli mnie do nagiej celi,  
od świata oddzielili kratą —  
ach, czemuż życia mi nie wzięli?  
Dziś jeszcze ich przeklinam za to.

To niedość związać jest ramiona,  
duchowi wskazać bramy nieba, —  
lecz serce trzeba wydrzeć z łona,  
lecz biedne serce wydrzeć trzeba!

— — — — —  
Niech cię nie dziwią łzy szalone —  
miłości rozum nie uśmierca,  
nie łamią prawa uświęcone —  
milcz! gdy nie umiesz wydrzeć serca...



# Rozmyślania.



## I.

W labiryncie daremnych dociekań  
z twarzą bladą, zamyśloną błędzę...  
czasem ciężkie zaskrzypią wrzeczadze,  
słońce przelśni z pajęczych oblekań.

Czasem błysnie w ciemnym korytarzu  
jakieś światło, niby znacząc drogę  
i przepada z nikłością mi ażu, —  
a ja drogi odnaleźć nie mogę.

Garstką prochów zetleję wśród mroków,  
śmiercią zginę dla nieba i świata,  
jeśli sercu nie powierzę kroków —  
serce skrzydłem—jeśli myśl skrzydlata.

*Kraków, 1909.*

II.

O WSCHODZIE SŁOŃCA.

Niebo całe jak morze, wschód—złote wybrzeże;  
bóg życia wznosi czoło z różanych powodzi.  
Niebu, zorzom i życiu nie wierzę, nie wierzę! —  
słońce nie codzień wschodzi!

Dla oczu—tak;—dla serca, co w nocie sza'one  
we snów burzliwych winie żar upragnień chłodzi,  
a jest rankiem jak kielich róży rozemknione —  
słońce nie codzień wschodzi!

Dla oczu—tak,— dla serca, co pali się zniczem,  
które w wieczność noc tęskna w srebrnej wiedzy łodzi,  
raz tylko z zórz złocistych płomiennym obliczem,  
raz tylko słońce wschodzi!

*Kraków, 1909.*

III.

ŚMIEJ SIĘ, DUSZO.

Kiedy snów twoich posąg marmurowy  
żelazne młoty złych duchów rozkruszą,  
kiedy ci gwiazda zagaśnie u głowy —  
ty śmieję się, duszo!

A kiedy ludzie blask wiosny zabrają,  
puhar zatruty do dna spełnić zmuszą,  
i nazwą potem upadłą i chorą —  
ty śmieję się, duszo!

Ty śmieję się duszo, i kuj posąg nowy,  
jady trucizny krwią przepal serdeczną,  
wyższa nad zawiść i bluźniercze mowy  
idź w dal słoneczną.

A kiedy staniesz wyżej głów miliona,  
kiedy cię krzyki pochwalne ogłuszą —  
podnosząc w niebo skrzydlate ramiona  
ty śmieję się, duszo!

*Warszawa, 1903.*

IV.

TO NIC...

Że tam czasem się powichrzy  
przezroczyta marzeń fala,  
że śpiew szczęścia coraz cichszy  
coraz cichszy płynie zdala,  
aż rozwieje się po świecie —  
to nic przecie.

Że tam czasem w duszy głębi  
wstaną mary z twarzą bladą,  
że tam myśli, jak gołębi  
zatrwożonych srebrne stado  
z przed zamieci mkną w zamiecie —  
to nic przecie.

Że tam czasem na błękanie  
jaka gwiazda zamknie oczy,  
że się w mgły owinie życie,  
że się oko łąz zamroczy,  
że dłoń bratnia się rozplecie —  
to nic przecie.

Że tam czasem serce biedne  
kruczym skrzydłem żal owinie,  
że tęsknoty mu bezwiedne  
każą w zmarłych snów krainie  
żyć, że zwiędnie czarów kwiecie —  
to nic przecie.



To nic przecie! Żadna wiosna  
jeszcze żalem nie uwiędła,  
że w czyjegoś życia krosna  
tylko czarna nić się wprzędła;  
dzień od czyjejs tam tęsknoty  
nie zbladł złoty,

Blaski zorzy nie zagasną,  
gdy ucichnie serca bicie;  
fala mniej nie będzie jasną,  
kiedy weźmie smutne życie, —  
więc choć szczęście wiatr rozmiecie —  
to nic przecie.

V.

NA WSCHODZIE DNIAŁO.

Ponad padolne wzniosłem się obszary,  
usta od pełnej odchyliwszy czary,  
i wzrok mój dojrzał, jak z rąk wypuszczona  
na dno kamiennej upadła otchłani,  
w proch rozprysnięta... Wtedy z głębi łona  
jęk padł ostatni—pożegnanie dla niej.

Ponad padolne wzniosłem się obszary  
na skrzydłach wielkiej tajemniczej wiary;  
ciało mi było niepotrzebnym strzępem  
i myśli ziemskie krępującą szatą,  
a więc się stałem własnych pragnień sępem  
i własnych dążeń moich apostatą.

I myśl po myśli wydzierałem z głowy,  
choć krwią serdeczną zwój płynął mózgowy,  
aż pierś spokoju odetchnęła falą —  
i zobaczyłem czystych spojrzeń strzałą,  
jak się na ziemi ognie w chatach palą,  
i zobaczyłem, że na wschodzie dniało.

Wtedy myśl jedną, co we mnie wciąż trwała,  
a była jako lilja wodna biała,  
a była jako płomień gorejąca,  
na usta pieśnią wywołałem śmiałą  
i w fali dźwięków posłałem do słońca, —  
otwarło oczy i ku mnie spojrzało.

Pieśń serca jego dosięgnęła skrycie  
i tak dźwięczała, że w nieba zenicie  
tysiącem blasków oczy zapalone  
na czarną ziemię obróciło zwolna;  
podniosły dęby czoła zamyślane,  
otwarła kielich cicha róża polna.

Po łąkach biegły szelesty tajemne,  
i z gór się źródła dobyły podziemne,  
i milion istot otworzyło oczy,  
i milion kłosów wyrosło na glebie.  
Dotąd się słońce po błękitach toczy...

— — — — —  
Kim jestem? Duchem, co umarł dla siebie.

P R A W D A.

Ja duszy twojej duszą jestem, —  
wieczysta w kręgu bytowania.  
Ku mnie ze srebrnych piór szelestem  
płyną przez gwiazdy rubinowe,  
twórcze dumania.

A wtedy ja na twoją głowę  
zsuwam z mych palców światła wstęgi  
i w serce twoje krwią tętniące  
przez pocałunek idealny  
tchnę żar potęgi.

Beze mnie słońce nie jest słońcem,  
beze mnie życie nie jest życiem,  
a ze mną każdy światła atom  
dla oczu twoich dostrzegalny,  
a ze mną każdy dzień w rozkwicie.

Umiłowanyś jest przeze mnie  
miłością matki dla dziecięcia,  
miłością siostry i kochanki.  
Moje słoneczne kołysanki  
ze snów cię budzą potajemnie  
i widzisz wtedy gwiazd błysnięcia  
i widzisz światów narodziny.

Umiłowanyś jest przeze mnie,  
jakbyś na ziemi był jedyny,  
jakobyś nigdy nie znał grzechu,  
jakobyś nigdy nie znał trwogi,  
jakoby nigdy twoje stopy  
z słonecznej nie zbaczały drogi,  
jakobyś nigdy w złym uśmiechu  
nie odzwierciedlał pustki serca,  
jakoby zawsze myśli twoje,  
w gwiaździste się wzbijały stropy,  
jakobyś nie był ty morderca,  
krzywoprzysięzca i wydzierca,

Umiłowany tak bez miary,  
jesteś królewskim dla mnie synem,  
z ust twoich rubinowej czary  
daj mi się poić szczęścia winem  
i przytul mnie do serca twego  
i kochaj i pamiętaj o mnie!

Ach, tyś niewierny! Myśli twoje  
przez wszystkie drogi chętnie biega,  
we wszelkie cisną się podwoje —  
jeno koło mnie  
jak cień przesuwasz się bezkrwisty,  
i twoje drogie usta senne,  
i serce twoje niepłomienne,  
i wzrok twój zagaszony, mglisty.

Ach, tyś niewierny, bo ramiona  
do rzeczy martwych prężysz chciwie,  
albo skroń twoja rozpalona

do piersi złudzeń się przygarnia,  
a potem wołasz, że dzień kona.  
a potem płaczesz rozpaczliwie.

Jam żywa! Bądźże miłosierny!...  
Ach, dla mnie chłód twój to męczarnia,  
bo duszy twojej duszą jestem!  
Przeze mnie z białych piór szelestem  
możesz ulecieć w światła kręgi  
i wziąć przezemnie lot potęgi...

Czemu ty mnie nie kochasz?!..

*Turyń, 1908.*

## TYŚ PROCHEM JENO.

Czy słuchasz? Czy twych myśli błędne koła,  
które z tęczowych mgieł naokół siebie  
uwijasz ciągle, i które tak żywe  
i w ruchach szybkie, jak powiek mrugnięcia,  
chcesz związać wolą jako niewolnice  
i słuchać? . .

Słuchaj! a jeśli na licach  
bładość bolesna cicho się rozpostrze,  
a jeśli w twoich cielesnych źrenicach  
łzy się rozniecą wielkie i błyszczące  
i serce twoje trwogą dygocące  
przeszyje rozpacz jak sztyletu ostrze —  
nie moja będzie, ani twoja wina.

My urodzeni ze znakiem Kaina,  
który na czołach naszych położony  
obok boskości promiennej pieczęci;  
już od kolebki walka się poczyna,  
razem szatani jesteśmy i święci  
i czyny nasze dźwięczą jako dzwony,  
pogrzebne dzwony — w wieczystej pamięci.  
Jednak my mamy i królestwo boże,  
i gwiazd muzykę, i szkarłatne zorze  
i w sercu słońca uścielone łoże.

Słuchaj: proch jesteś, smętny synu Boży,  
i twe cierpienie nie więcej jest warte  
od bólu kwiatu u pustych rozdroży,  
gdy stopą twardą piersi ma rozdarte,  
ani trwa dłużej to twoje cierpienie  
jak tego kwiatu przedśmiertne westchnienie.

Proch jesteś nędzny i twoje nadzieje  
wicher rozwiewa jak mgły porankowe.  
Tobie się zdaje, że w przestworzach dnieje,  
a to są tylko skry błyskawicowe —  
i może nigdy nie zobaczysz zorzy,  
ofiarno życia, smętny synu Boży.

Tyś tajemnicą dni twych tajemnicy  
i co grzech—nie wiesz i nie wiesz co cnota.  
Dni twoich barką morze pragnień miota,  
a ty nie możesz onej nawałnicy  
zakląć jak Chrystus wyciągnięciem dłoni,  
by iść po cichej, po błękitnej toni.

Na czole twojem dwóch potęg pieczęcie,  
a oba znaki są powodem męki:  
gdy jedną zdzieras z pod nagłej ręki  
krew kropelkami na piersi upada,  
gdy ci się blizkim zdaje wniebowzięcie  
i śnią się skrzydła u ramion przezrocze, —  
to nagle staje mara zwątpień błada,  
krew z czoła zbiera na czarne warkoczce  
i pracę twoją nazwawszy daremną  
i drogę twoją bezkresną i ciemną,  
tak do ust twoich tuli zimne wargi,  
że wyjść pozwala tylko słowom skargi.



I oto teraz zrywasz pieczęć drugą,  
i wnet ostatnie dzieńne blaski gasną  
a w duszy twojej od pożaru jasno —  
i płonie serce wolno, strasznie, długo,  
aż zapominasz, jakie gwiazd są oczy,  
jakie dnia w słońcu skąpanego czary —  
tak wzrok olsnęły serdeczne pożary,  
a krew się z czoła zranionego broczy.

I tak bez końca, tu i tam, i wszędzie...  
A jednak twoje i śpiewy łabędzie  
i wieńce z dębu i lauru uwitel  
Oto masz serce boleścią przeszyte  
i zmarszczką cierpień czoło przeorane;  
lecz los ma w tobie wiernego najmitę:  
dla niego twoje ręce okowane  
pracują ciągle, dla niego twe stopy  
zmierzają z trudem na podniebne szczyty  
i twe ramiona niebios ciężkie stropy  
dźwigają z cichym milczeniem najmity —

Ty wciąż iść musisz; przeklinasz, czy kochasz —  
czyś cnotą święty, czy grzechem zmazany,  
czy się uśmiechasz, czy rozpacznie szlochasz,  
koronę dźwigasz, czy rdzawe kajdany —  
ty wciąż iść musisz, wciąż, bez odpocznienia!

Jako nic jesteś na tkackim warsztacie,  
jak kropla wody w objęciach strumienia,  
jak atom światła w słońca majestacie  
i jako jedna łąka w morzu cierpienia.

Iść musisz, idziesz i dojdiesz do końca,  
lecz niezawczasie kładź tęczowe szaty:  
choć dla ciebie i gwiazdy i słońca  
i tajemnicze aniołów objaty  
i złote blaski nieśmiertelnej zorzy —  
tyś prochem jeno, smętny synu Boży!

*Turyn, 1908.*

## SPOKOJNIE.

Nie weźmie duch w szamotań zły godzinie  
w ramiona swe ogromu wszystkich nędz...  
Spokojnie więc niech fala życia płynie,  
spokojnie więc!

Pęknięta pierś jak czara jad przesączy,  
co w sercu się utworzył z wrzącej krwi.—  
Spokojnie więc, gdy czas unosi rączy  
szczęśliwe dni.

Tęskniąca twarz litosny uśmiech budzi,  
przelotny ptak nie płacze dawnych gniazd, —  
spokojnie więc pod zimnym wzrokiem ludzi  
szukajmy gwiazd.

Śnił ci się raj?—motyle snów istnienie.  
Zawiódł cię los? — za chwilę doznasz łask.—  
Spokojnie więc z światłości w nocne cienie  
i z cieni w blask.

Już z tamtych ust płomienny cud nie wstanie,  
nie wskrzesi żal, co doli zniszczył bieg, —  
spokojnie więc niech żegna duch kochanie,  
by czynu strzegł.

Jak wszystkim czas, ukryty ból przeminie,  
daremne łyzy porwanych płakać przedz.  
Już kona dzień?... Ostatni promień ginie? —  
spokojnie więc!...

Warszawa, 1906.



# Złudzenia.



I.

Płyną słońca żywe zdroje,  
przez powietrza oceany.  
W modre szale, w złote stroje,  
podświetlony świat odziany.

Płyną ciepła fale żywe,  
rozgrzewają ziemi suknie,  
tętnią życia skry pieściwe,  
w najdrobniejszej trawy włóknie.

Zachwycone patrzą oczy  
w rzek zwierciadła, w lasów mroki,  
kołem życia bieg się toczy:  
to niziny, to wysoki.

Na świat inny ten świat zmienię,  
jeno oczy skryć w powieki:  
słyszę własnej krwi krążeńie  
niby pszczelny brzęk daleki.

Słońce cieniem, kształty cieniem,  
zwolna bicie serca zcicha,  
białym płonie duch płomieniem.  
i pierś prawie nie oddycha.

## II.

Nad chatami drzemiącemi  
krwawy anioł z wichrem leci,  
lecąc płacze łyzy krwawemi  
i pochodnią krwawą świeci.  
Po zasianym świeżo łanie  
głodu włóczę się widziadła...  
Czarnoksięska lampa zbladła —  
spelzły widma na ekranie.

Idzie lęku wid bezoczny,  
szuka serca dłonią siną...  
Świat się zlewa w chaos mroczny,  
gwiazdy giną, słońca giną,  
dnia i nocy wirowanie,  
w jęk zmienione święte hasła...  
Czarnoksięska lampa zgasła —  
znikły widma na ekranie.

Z za gór złotych, z za rzek srebrnych,  
przez lodowe, ciche pola  
mknie rycerzy huf podniebnych,  
światłość skronie im okola.  
Pędzą w nocy, pędzą we dnie,  
w liliowych mgieł tumanie...



Czarnoksięska lampa blednie —  
Gasną widma na ekranie.

W blaskach zorzy, w śnieżnych szatach,  
modrookie, złotowłose,  
po zbóż runiach i pól kwiatach,  
b ylantową siejąc rosę,  
duchy snują się leciuchne,  
niosąc mir i miłowanie...  
Czarnoksięską lampę zdmuchnę —  
znikną widma na ekranie.

### III.

Sen skrzydłami serce muśnie,  
i stężeją myśli tęcze,  
ukojony umysł uśnie,  
mienia życie w mgły pajęcze.

Nic mi ciszy nie zamaści,  
żadne światła, żadne szmery...  
Sen skrzydłami serce trąci  
i znów w dawne wracam sfery.

*Warszawa, 1907.*



Dum spiro-spero.



## ŻÓRAW.

Klucz żorawi na błękit wypłynął,  
ciemną linią majaczył w oddali,  
blednął, malał i wreszcie zaginał,  
kędy zorza wieczorna się pali.

Przez niebiosy, za słońcem tęskniące  
i zmroczniałe od onej tęsknoty,  
nieco wyżej nad drzewa szumiące,  
ptak samotny niepewne wiódł loty.

Chory żoraw podążał za braćmi,  
skrzydła miały ruch ciężki, powolny...  
Hej, żorawiu noc oczy ci zaćmi  
i już będziesz do lotu niezdolny.

Nim noc przyszła spaść słaby na wrzosa,  
nawet wielkich nie zwinął już lotów  
i żałośnie spoglądał w niebiosy  
cichy bardzo, na śmierć pewną gotów.

O żorawiu, w okropnej tej chwili  
wicher żalu twą piersią koleb'e, —  
ci, co razem tu z tobą przybyli,  
jakże mogli opuścić tak ciebie!

Jakże mogli odlecieć?... Twe oczy  
już niedługo dłoń śmierci ostudzi —  
a im jutro w błękitów roztoczy  
młode słońce się znowu obudzi...

---

Jeden konam... mych braci jest wielu...  
Niech się słońce... swoboda niech święci...  
Gdyby dla mnie nie poszli do celu,  
wtedy... wtedyby byli przekłęci.

*Warszawa, 1907.*

## J U T R O.

Po izbie mojej codzienność żałosna  
pajęczyn szarych rozsnuła tkaniny  
i okno całe zaprzędła jak krosna. —  
Ani mi widne niebiosów głębiny,  
ani wiem o tym, czy już wraca wiosna;  
nawet mi echem nie brzmi głos jedyny  
i wicher jeno wrotami kolebie — — —  
lecz, Jutro moje, zawsze kocham ciebie.

Promienna wizjo z wieczności zrodzona,  
kądzieli życia, uśmiechu nędzarzy,  
pozywasz może pajęcze przędziona  
i ujrzę słońce o złocistej twarzy.  
Ty jako posąg cudowny Memnona  
zadzwonisz pieśnią i duch się rozżarzy,  
a jeśli z dawną zstąpisz mi żalobą,  
to nowe jutro przywiedziesz za sobą.

I tak cudownie jako nitka złota  
myśl ta się snuje przez pajęczyn zwoje.  
O jutro śmierci, o jutro żywota,  
z młodzieńczym żarem kocham was oboje!  
Choć wicher jeno kołace we wrota,  
serce mu tylko odpowiada moje,  
nadejdą chwile i szczęścia i słońca —  
wciąż nowe jutro czeka nas bez koń a.

Warszawa, 1907.

### TĘSKNOTA ZA LOTEK.

Przez te drzwi mroczne, żelaznymi ćwieki  
szydzące ze mnie — słońce szczelą świeci,  
więc mi do oczu przygwóździcie powiekil...

Z za tych drzwi ciężkich szczebiot wdzięczny leci:  
głosy dziecięce i wróbli ćwierkanie —  
do ciemnic ptaki zamknijcie i dzieci!

Na tle drzwi z bronzu wizji wędrowanie:  
z kości słoniowej odkłęte zjawiska, —  
w dyby je skujcie, a nim się to stanie,  
drzyjcie, bo duch mój tęskni, rośnie, błyska!...

*Kraków, 1909.*



## ZBUDŹ SIĘ.

Usnąłeś bracie? zbudź się, zbudź,  
nie wolno nad przepaścią spać!  
Złe duchy poszły łańcuch kuć,  
ty śpiący dałeś miarę brać.  
O zbudź się! niech sokoli wzrok  
przebije mrok.

Nie wolno oczu mrużyć, nie!  
Choć noc już wyszła gwiazdy siać:  
mogą ci miecz odebrać w śnie  
i sznur jedwabny w rękę dać.  
Cóż będzie, kiedy walki zgrzyt  
przyniesie świt?

O, zbudź się, zbudź! Po stokach gór  
przesuń się lekki, niby cień,  
pociski gromów zabierz z chmur,  
zapomnij złud i tęsknych śnień. —  
W pragnieniu wielkiem czeka lud:  
niech ujrzy cud.

A jeśli ci nie sądził Bóg  
hetmanem być i wodzem być,  
rozprostuj pierś, pył strząśnij z nóg —  
w szeregi idź;  
do końca dni tocz mężny bój,  
a duch się uhetmani twój.

Warszawa, 1902.

## CÓŻ MAM Z TOBĄ POCZAĆ, ŻYCIE MOJE?

Cóż mam z tobą począć, życie moje?  
Jak szumiące idziesz na mnie zdroje,  
haftowane wodospadów piana,  
przetykane złotem i błękitem;  
stajesz śnieżnym wpoprzek drogi szczytem;  
górami w jodły i sosny odzianą,  
bramowaną u stóp winogradem;  
jako morze rozlewasz się sine  
na tajemną mojej duszy krainę —  
płaszcz masz z nieba, ze słońca—dyjadem.

Cóż mam z tobą począć, życie moje?  
Szumu zdrojów złotych ja się boję —  
piana wzrok mi obryzga, zamroczy,  
a do szczytu stopy nie doniosą,  
jodeł nie ściąć ni sierpem, ni kosą,  
winnych jagód dłoń moja nie stłoczy,  
a przez morze nie mam siły płynąć:  
duszy niebian nie strzegą zastępy —  
płaszcz twój wichur może porwać na strzępy,  
twój dyjadem w chmurach może zginąć.

Cóż mam z tobą począć, życie moje,  
gdy się twojej sile nie ostoję?  
Weź mnie tedy w ramiona strumienne,  
lej mi w piersi moszcz tęgi, radosny,  
porunami zrzucaj na mnie sosny

i lawiny ze szczytów zsuń senne;  
skroń rozbijaj na fal oceanie,  
aż duch w bólu myślą wielką uleci.  
Wtedy owiń mnie płaszczem stuleci  
na sen—słońce na straży niech stanie.

*Rabka, 1904.*

T R Y O L E T Y.

Nad Atenami wstaje słońce,  
jutrzienka skroń różaną kłoni,  
wiatr modrozłote fale goni,  
nad Atenami wstaje słońce...  
W struny helleńskiej lutni trączę,  
niech pozdrowienie w błękit goni...  
Nad Atenami wstaje słońce,  
jutrzienka skroń różaną kłoni.

Już złotowłosa Afrodyta  
z pian morskich wstaje w blaskach maja,  
w mirty i róże skroń przystraja...  
Anadjomene — Afrodyta  
uśmiechem złote słońce wita;  
przestwór kochaniem się upaja...  
Już złotowłosa Afrodyta  
z pian morskich wstaje w blaskach maja!...

Jestem akordem w życia pieśni,  
w strumieniach światła iskrą złotą,  
drżącą żarem i tęsknotą...  
Jestem akordem w życia pieśni,  
a kiedy ziemia już się prześni —  
myśli się moje w gwiazdy wplotą!...  
Jestem akordem w życia pieśni,  
w strumieniach światła i krą złotą!...

## PORWAŁ MNIE WICHER.

Porwał mnie wicher w słoneczność poranną.  
Niósł nad różane doliny i gaje,  
aż duch, znużony życia kwarantanną,  
wejrzzał w cudowne, w snach widziane kraje.

Dobrze jest ziemię z górnych widzieć lotów:  
wnet iza się każda w brylant przekryształą,  
gra pieśń zwyciężką ciężkie echo młotów  
i tęcz symfonię ludzkich istnień fala.

.....  
Miłości ogniu, o bądź pozdrowiony!  
Żywiole wieczny, chcę w tobie trwać wiecznie!  
Objąłeś wszechświat wiernymi ramiony, —  
więc ja w nich również byt mój rozśłonecznię.

Bracią mi siwe na skałach porosty  
i wątle trawki wschodzące o wiosnie,  
kamienie polne i przydrożne osty  
i muszki w słońcu krążące radośnie.

Ale mi również prawowitą bracią  
złote pioruny i wichry-tytany,  
i słońc odruzgi pod komet postacią,  
i słońca same—światła oceany.

Istnieć i płonąć — by istnieć i płonąć,  
i być ogniwem wszechbytu łańcucha,  
w morzu atomów atomem utonąć  
i stać się słońcem przez słoneczność ducha!

*Warszawa, 1908.*



# Dziewięciosiły.

*Pieskowa Skała, 1910.*

Poezje.

6





I.

SŁOŃCE.

Skąpane w słońcu drzemią astry  
w chłodny poranek jesieni —  
o bajko życia, ty z przedsieni  
wiedz mnie w twój zamek, pod pilastry

malachitowe starych sosen,  
na ten kobierzec uścielony  
z igliwia, słońcem rozświetlony — — —  
iść będę cicho jak widosen,

przez miękkie, ciepłe mchów kobierce,  
iść będę od zła progów  
z słodką pogodą greckich bogów,  
słoneczność boru biorąc w serce.

II.

M O G I Ł A.

W cichym lesie samotna mogiła  
garstkę prochów powstańczych otula;  
czyjaś ręka w gałązki klonowe  
zapomnianą mogiłę spowiła.

Siedm brzózek nad mogiłą rośnie ...  
Siedmiu sercom poświęcone brzozy  
o tych sercach rozdartych za życia  
drobnym liściem szeleszczą miłośnie...

Schną powoli gałązki klonowe,  
żółkną chyżo na wichrach i rosie...  
Z nową wiosną odwiedną na nowo,  
jak ta wiara w dni jasne i nowe.

Każde drzewo — cień po bohaterze.  
Drzewa—cienie całuję oczami  
i do rąk tych uśmiecham się w ciszy  
co mogiłę stroiły — i wierzę!

III.

Z O R Z E.

Zaszło już słońce! ach, nie żałuj —  
to tylko oczu złuda.  
Choć mrok nad nami, wiecznie żyją  
słonecznej siły cuda!

Z za mgieł opaski  
różane blaski  
patrzą na ciebie — zorze!  
Zaszło już słońce, — ach, nie żałuj:  
twój duch być słońcem może!

IV.

MĄDROŚĆ ŻYCIA.

Nieprzenikniona ciemnia boru  
i droga w borze tajemna,  
cicha, daleka, samotna...

Nad leśną drogą w górze  
gościniec szafirowy  
i gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy!

V.

J A R Z Ę B I N A.

Księżyc niepełny na obszarze  
niebios przezystych;  
nad zżętem polem chłodny tuman  
mgieł powłóczystych.

A brzegiem pola stoi cichy  
szereg jarzębin —  
oddziela ciemną ścianę lasu  
od modrych głębin.

Jarzębinowa gałąź wiotka  
na skroń miesiąca  
legła, jak dłoń o wązkich palcach,  
cicha, kojąca — — —

I czemu płyniesz, świecie srebrny,  
po modrej toni?  
czemu uciekasz od tej chłodnej  
pieszczącej dłoni?...

VI.

L I Ś C I E.

Jako jesienne złote liście  
lecą złudzenia z marzeń drzewa...  
...O, naucz się, z uśmiechem patrzeć  
jak je swawolny wiatr rozwiewa.

Jako jesienne suche liście  
lecą złudzenia, z wichrem lecą,  
nieoschłe na nich krople deszczu  
w młodzieńczych blaskach słońca świecą...

O naucz się z uśmiechem patrzeć  
w zwierciadło łez na praw odbicia,  
niech lecą liście i złudzenia  
w podmuchach wieczystego życia.

VII.

SAMOTNOŚĆ.

W nieskończoności gwiazdnych oczu  
z niebiańską grążę się rozkoszą.  
Wam serca furje grzechu koszą,  
a ja śnię słodko na uboczu.

W nieskończoności gwiazdnych szlaków  
pielgrzym bezdomny wolno krocę, —  
wiodą mnie w wieczność sny prorocze — — —  
cóż wam do tych tajemnych znaków?

Na nieskończone, gwiazdne pola  
z narodzin szczęścia zorze płyną — —  
a droga moja jest jedyną —  
a nie iść razem — wasza wola.

VIII.

L E K I.

Przywróciła niewiara do wiary,  
uleczyła z niemocy chorobą,  
z oczarowań wywiodły mię czary,  
i z żałości podźwięta żałoba...

---

Nie przeklinaj jesiennej wichury,  
nie pogardzaj ni sercem, ni gadem,  
kochające kładź oczy na chmury,  
a mieć będziesz z piorunów dyjadem.

---

Nic się tutaj nie dzieje daremno,  
nic się tutaj bez cudu nie stawa, —  
słońce świeci zarówno gdy ciemno,  
dzień zaciemnia demonów kurzawa.

---

Nie siej srebrem łez próżnych po drodze,  
skwitnij wiecznym uśmiechem w weselu —  
nic popiołem nie jest po pożodze,  
nic w pożarze nie ginie bez celu.



A w górze gwiazdy się złącą...



I.

Po co tam idę?...  
Twarze umarłych księżyców, —  
śmierć im róże starła z liców,  
a duchy nieszczęść skrzydłami łopocą...  
Ja nie wiem po co...

Tam ludzie w ciągłej niedzieli —  
w strzep się jedwabiów odzieli —  
z założonemi rękoma,  
a wicher wstrząsa węglami,  
a nędza doma.  
...A w górze gwiazdy się złocą...  
Ja nie wiem po co — — —

Tam oderwane od ramion  
tleją skrzydła po piwnicach,  
a na wykrzywionych licach  
najstraszniejsze z życia znamion —  
pycha i zarozumienie...  
...A w górze gwiazdy się złocą...  
Ja nie wiem po co...

A jednak idę. Idę z nienawiści  
do tego boga, co nakazał święto  
i rzuca serca nakształt zwiędłych liści  
na drogę ciszy przeklętą.  
A jednak idę z uporem i mocą...  
..Tam w górze gwiazdy się złocą...

## II.

Czy dziw, że pomnę? przecież razem  
wychudłej nędzy dłonie  
w loch nas zepchnęły i zawarły  
więzienie głazem.

Razem nam szarpał głód wnętrzości,  
płonęły razem chaty.  
Czy dziw, że tego nie zapomnę  
tu i w wieczności?

Tajemne wiążą nas łańcuchy —  
(i moc i blask djamentów),  
rozpacz i miłość, grzech i cnota —  
szczęścia okruchy.

## III.

Polatują kruki nademną,  
wydziobują serce i oczy...  
Stało słońce wysoko—i znów ciemno—  
brat mój Syzyf głaz pod górę toczy.

Uśmiechnęła się noc błyskawicą —  
z mojej piersi potężnej krew broczy...  
Gdy się gromy za bary pochwyca,  
ślepe oczy błysk walki rozmroczy.

Polatują kruki żarłoczne,  
trwa wyrocznie krwawa biesiada —  
z końcem męki brata mego odpocznę...  
Z szczytu góry głąz z dudnieniem spada! —

Uśmiechnęła się noc błyskawicą,  
na krew z serca płynącą nie baczę.  
Brat mój Syzyf w dłoniach ukrył lico  
i skulony u stóp góry płacze...

#### IV.

Na umęczoną moją skroń  
pada jaśminów biały deszcz,  
zabłądził duch w gwiazdzistą toń,  
a ciałem wstrząsa dreszcz.

O, gdyby z siebie rzucić to,  
co jest niechwytnie jako mgła,  
a w uścisk chciwy garnie zło  
i ma na imię — Ja!

Lub gdyby zcichł, na wieki zcichł  
ten obłąkany ducha głos,  
żeby już nie znać proroctw tych,  
w których bieleje włos!

O straszna wojno potęg dwuch,  
demonów tłum, aniołów rój,  
w niewoli ciało, w jarzmie duch,  
a nieskończony bój.

Na ostre ciernie krwawych dróg,  
leci różanych płatków deszcz,  
zestąpił w serce słońca bóg,  
a ciałem wstrząsa dreszcz.

V.

Pięścią się bramy złociste otwiera,  
kopnięciem nogi zakłęte sezamy —  
od pocałunków dzień złoty umiera,  
od westchnień—szczęścia wietrzeją balsamy.

Los się położył na progu wieczności —  
dwugłowy strażnik lodowatych krain —  
kto się krwią bratnią nie splami jak Kain,  
ten niema prawa do uczty miłości.

VI.

Córka nieszczęścia i niewoli,  
przekłęta obłądnica —  
Nadzieja, w tęcz aureoli  
śmiejące wznosi lica.

Szaleńcem ten, kto wierzyć zdoła,  
że w trupie serce bije  
i dla stęgłego w śmierci czoła  
z piosenką wieńce wije.

Opadną mu bluźniercze ręce,  
gdy dotknie ust ustamił  
Szaleńcem, kto w przerażeń męce  
znów serce snem omami.

Nadzieja, córka snu i pychy,  
upiór kłamnego raję,  
orzeźwia zwiędłych róż kielichy  
napojem z łez ruczaju.

W błyskaniach idzie—milcz rozumie!  
lub wij się na torturach —  
szczęśliwy, kto jej odbiedz umie  
na białej ciszy piórach!

Sęp życia serce rwie i zżera —  
Nadzieja rany zleczy —  
niech w nieskończoność nie umiera  
straszliwy ból człowieczy.

Wiją się bluszcze po ruinach,  
w popiołach szczęście leży —  
w wyobraźniowych żyjąc czynach,  
śmiertelny w śmierć nie wierzy.

VII.

O ty, słońce moje, jakżeś krwawe,  
jakżeś nisko nad ziemią, jak nisko!...  
Morskie fale zmieniły się w lawę,  
serce twoje w gasnące ognisko.

O ty, słońce, nie odchodź, ty dumne!  
nie mógł ciągle duch klęczeć przed tobą —  
dziś mu jeno położyć się w trumnę,  
tak strawiony bólem i żałobą.

O ty, słońce! odchodzisz beze mnie —  
oczy moje iść z tobą nie mogą,  
choć je wichry otoczą i ciemnie  
nad tym morzem szumiącym złowrogo.

VIII.

Czernią się sosny w zwartą zbite lawę,  
księżyc czerwony z za drzew się wykrada,  
gwiazdami płacze sierpniowa noc blada —  
upiór tęsknoty wpił się w serce krwawe.

Z za boru widma nadpływają mgławce —  
łez nieobeschłych skłębione tumany...  
był dzień słoneczny i dzień przeklinany —  
upiór tęsknoty wpił się w serce krwawe.

Raz jeszcze w zorze zanurzyć się rdzawe  
i spiekle usta słoneczne całować;  
raz jeszcze rozkosz przedśmierci miłować!  
Upiór tęsknoty wpił się w serce krwawe.



IX.

Taka już ludzka dola marna,  
tak już pisano gwiazd obrotem,  
że nim posiane zbierzesz ziarna  
musisz się krwawym oblać potem

Tak już pisano gwiazd obrotem,  
że zmoczysz łzami suchar chleba,  
że będziesz gnać za szczęścia złotem,  
nie znając ziemi ni też nieba.

Że nim posiane zbierzesz ziarna,  
włos ci zbieleje w trosk ogromie,  
wkłęśnie od bólów pierś ofiarna,  
a cep uwięźnie w pustej słomie.

Musisz się krwawym oblać potem,  
zanim posiane zbierzesz ziarna, —  
tak już pisano gwiazd obrotem,  
taka już ludzka dola marna.

X.

Serce moje żyzna gleba — — —  
Posiał szatan w nowiu czas,  
wzrosły zielska aż pod nieba  
z srebrnym, bożym kłosem wraz.

I to miłość i to miłość,  
słońce złoci wszystkim łan...  
a mnie męczy trwóg zawilość,  
Bóg czy szatan serca pan.

Więc zaczęłam w łzach i męce  
bujne zielsko rwać a rwać,  
pokrwawiły mi się ręce,  
dzień mi począł w wieczność trwać.

Lecz, gdy gwiazdy zajaśniały,  
uderzyłam płaczem w głos —  
razem z zielskiem przez dzień cały  
wrywałam boży kłos.

## XI.

A idziemy w dal wytrwale  
szukać kwiecica na granitach,  
gniazd słowiczych na skał szczytach  
i wytchnienia w szale.

Szukać drogi na eterze,  
szukać słońca ciemną nocą —  
sny za czyny serce bierze,  
i mija się z mocą.

*Kraków, 1911*

## HISTRJON.

Przeto, żem chodził, jak histrjon wzgardzony  
pomiędzy ludzie wytworne i dumne,  
przeto, że czoło schylałem rozumne,  
milcząc, że idę z podniebiańskiej strony;

przeto, że w prawdę patrzyłem jak w trumnę,  
w której zetlały królewskie obłony;  
przeto, żem mijał zadumane dzwony  
i więził myśli skrzydlate i tłumne; —

przekleństwem ducha naznaczony jestem  
i gorszy od was z oniemiałą lutnią.  
Oczy się wasze zamgłą i rozsmutnią

i spojrzą w błękit srebrnych łez protestem, —  
ja krwi kąpielą stać się muszę biały,  
przeto, żem chodził wzgardzony i mały.

1905.



# Varia.



## P A Ź.

Był złotowłosym paziem królowej,  
chłodził jej liczko wachlarzem z piór,  
u stóp jej siadał w sali tronowej,  
kiedy się kłaniać przychodził dwór.

On ją najpierwszy witał porankiem,  
piękną jak światło wschodzących zórz  
ostatni za nią dążył kruzgankiem,  
gdy słońce spało za tonią mórz.

On aksamitnej dotykał dłoni,  
gdy białej róży podawał kwiat,  
on czuł jej oddech na swojej skroni,  
gdy na ramiona płaszcz modry kładł.

Czytał jej baśnie z przedziwnej księżki,  
oprawnej w złoto, słoniową kość,  
ona, mnąc białe u szaty wstążki,  
szeptała cicho: „Dość, paz'u, dość!”

I na chłopcę skraśniałych licach  
wilgotnych źrenic chłodziła żar,  
a on w nią patrzył cały w tęsknicach  
i pił jak wino królewski czar.

Nie dziw, że teraz paż złotowłoso,  
gdy u królowej zamorski gość,  
wtula twarz bladą w trawy i rosy,  
a usta szepcą: dość, pani, dość!

1905.



O R Z E Ł.

I on znał lot śmiały  
nad wirchy i skały,  
i jemu wichura śpiewała.  
Od skrzydeł lotniejsza,  
od zorzy piękniejsza  
myśl jego do słońca się rwała.

I on od kołyski  
piorunów śnił błyski  
i dziobem rwał gromy z ócz chmury.  
I on czuł tęsknicę,  
gdy skrzące źrenice  
z pragnieniem wysyłał w lazury.

Skrzydłami wolnemi  
szybował od ziemi,  
wysoko nad sinych gór szczyty  
Z rozkosznym westchnieniem  
upajał się drzeniem  
eteru — wolności nie syty.

I on śni w noc ciemną  
toń światła tajemną  
i rankiem biegł w niebios głębiny,  
Gdzie złotych słońc trony...  
i on — w pierś raniony,  
powoli upadał z wyżyny...

1902.

## WIGILIA.

Ci, co odeszli i nigdy nie siądą  
przy wigilijnej mistycznej wieczerzy,  
ani serc swoich pastuszą kolendą  
nie uwesela, nucąc „W żłobie leży”,  
ani opłatka nie przełamie z nami, —  
ci, co już płoną pomiędzy gwiazdami,  
czyli zobaczą z tęczowych rubieży  
jak nam źrenice łzawe mgły oprzędą  
przy wigilijnej mistycznej wieczerzy  
jak będziem płakać z pastuszą kolendą!

Całuny śniegu po cmentarzach leżą,  
W krainę wspomnień chyżo przestąpimy:  
oto wdychamy woń poranku świeżą,  
nad nami lasu wonne baldachimy  
i smugi św atła płyną poprzez liście,  
i drogie słowa dzwonią tak srebrzyście.  
O, jakże krótko od wiosny do zimy!  
A choć się znowu jabłonie rozśnieżą.  
jeno w krainę wspomnień zestąpimy!  
Całuny śniegu po cmentarzach leżą...

1906.

## ROK NOWY.

Dwanaście razy zegar za chwilę uderzy  
i powiecie, że oto rok się rodzi nowy,  
że stoim na mistycznej dni przyszłych rubieży  
i... dawnemi Rok Nowy powitacie słowy.

Czy więcej kto ukocha? Czy silniej uwierzy?  
Czy poczuje w swej piersi żar Prometejowy?  
Ach, nie! Złudzenia rzućmy, bądźmy chwilę szczerzy—  
nie z dźwiękiem zegarowym rok się rodzi nowy!

Dajcie dłonie, uśmiechem rozpogódcie usta!  
Już dwunasta uderza, a my tacy sami,  
i czyja pierś jest pusta—pozostaje pusta,

i czyja pełna ogni, rozbłyska ogniami,  
i komu życia puhar przyprawia Lokusta,  
ten truciznę wypije razem z toastami.

1908.

### ZDAWAŁO MI SIĘ...

Zdawało mi się, że w ten czas północny  
wid się jakowys potężny ukaże,  
jakowys rycerz stalisty i mocny,  
złoty, przy krwawym sztandarze.

Zdawało mi się, że z wysokiej wieży  
nie dźwięk zegara, a dwanaście ptaków  
srebrnymi loty szelestnie uderzy,  
powiedzie do nowych szlaków.

Zdawało mi się, że nim noc przeminie  
wszystkie się gwiazdy pozmieniąją w słońca  
i w każdej życia nowego godzinie  
będą nam świecić bez końca.

Zdawało mi się!... Czas jak dawniej mija,  
rycerz śpi kędyś pod kurhanem z śniegu,  
i ród sokołów skrzydeł nie rozwija  
i gwiazdy tkwią w swoim biegu.

A jednak wierzę — nie w zmartwychwstanie  
tego, co wieków przykryły kurhany,  
nie w skrzydeł srebrnych ciche żeglowanie  
i w gwiazd cudowne zamiany, —

ale że pójdziem zwartymi szeregi,  
w męce i w trudzie i w ducha łamaniu,  
kielich goryczy spełniając po brzegi  
na cześć nowemu świtaniu;

że pójdziem razem, my z raju wygnańce,  
i ócz iskrami wznecim ognie boże  
i w nocy smutku rozśwecim kagańce  
nim nowe rozblysną zorze.

I cudem będzie ta łzawa wytrwałość,  
i lotem ptaków krok ciężki w kajdany,  
odziejem dzień nasz w nieśmiertelną białość,  
przebywszy krwi oceany.

*1909.*

\* \* \*

Niech będą smutków dni błogosławione —  
oto się moje źrenice otwarły  
łez kluczem srebrnym i tak w oczach pełne,  
jakby mi wskrzesły te sny, co umarły.

W bezkresność patrzę na ziemi oparta  
jak posąg z spiżu dłonią Boga kuty,  
u nóg za kartą odwraca się karta  
życiowej księgi, dni znacząc pokuty.

Nad głową moją gwiazdy kręgi toczą,  
o pierś mą wichry rwą lodowe loty,  
a dniem i nocą wkrąg widma się tłoczą,  
jęcząc mi pieśni bezbrzeżnej tęsknoty.

Nim to się stało duch twój przyszedł do mnie,  
z rozkazu Boga serce mi kształtował,  
promieniejący dobrocią ogromnie  
krnąbrnego ducha mego całował.

Po falach wiódł mnie i nad przepaściami,  
we gwiazd otchłanie i przez ziemi wnętrza,  
pobłażliwemi patrząc się oczami  
jak się bunt we mnie bałwani i spiętrza.

Teraz się oczy otwarły i patrzą,  
teraz się serce zbudziło i słucha,  
pierś spokojniejszą, twarz mam cichszą, bledszą,  
a płomień wieczny w głębiach mego ducha.

*Kraków, 1910.*

W A L K A.

(Artysta)

Do rzeźby p. Stanisława Popławskiego.

Wpił ręce w pierś, własnego szukający serca,  
w ramiona wtłoczył głowę i zwinął się w sobie,  
w ziemię z siłą tytana wparłszy stopy obie —  
on, męczennik i ognia bożego wydzierca.

Dość rozbić i zatonięć w otchłannej żałobie!  
Dość już w oczy kurzawy sypał los bluźnierca!  
Niemocy dość, co w każdą tknię żywą się wwierca  
jak rój robactwa w trupa złożonego w grobie!

Dość! — Walczy teraz z sobą, z życiem i ze światem,  
żądzą zwycięstwa dyszy skulona pierś naga,  
pochylił się ku ziemi wieszce głowy kwiatem,

w łuk zgięty, z niewidzialnym szatanem się zмага,  
a kiedy się jak łuku cięciwa rozpręży,  
błyśnie wzrokiem, jak gromem i jak grom zwycięży.

*Kraków, 1910.*

\* \* \*

Ty jesteś z tych, co jeszcze Termopili bronia;  
tyle się cofnąć zdołasz, ile zajmie ciało,  
gdy padnie z czołem w błękit otwartym i z dłonią  
na sercu w znak, że serce umierać kazało.

Lecz zwycięż! Niech się oczy jak żagwie rozploną,  
rękę miej, jako piorun, twarz jak marmur białą —  
cichy w sobie, mścicielem stań się i pogonią,  
bo wielu jest walczących, a zwycięzców mało.

Ty jesteś z tych, co za nic mają losu twardość,  
nie liczą sprzymierzeńców i wrogów nie liczą;  
z serca czerpiąc potęgę woli tajemniczą,

mrówczą mają wytrwałość i tytanów hardość  
i w świt idą, świt czując na długość ramienia,  
a słońce, wiernym wierne, wstaje w kształt płomienia.

*Kraków, 1910,*



A V E !

Cóż powiem Tobie? Masz światy bajeczne,  
gdzie duch Twój mieszka jak król i jak dziecię;  
w Twoim pałacu komnaty słoneczne,  
w ogrodach nigdy niewiędzące kwiecie;  
słów moich rosa tym kwiatom zbyteczna —  
inna je poi, gwiazdzista i wieczna.

Nieśmiertelności codziennie pijesz wino  
ze złotej kruży świadomej potęgi;  
nad Twoją głową wieki w wichrach płyną  
i błędne gwiazdy srebrne niecą kręgi, —  
ty ich nie żegnasz tęsknotą i płaczem,  
bo nie chesz płakać — nie, iż niema za czym.

Cóż powiem Tobie? gdym cała tęsknotą  
za tym, co było i tym, co się stanie...  
Chciałabym w harfę zamienić się złotą,  
chciałabym wielkie mieć w piersiach płkanie,  
przeszłych i przyszłych miłowań ogromy,  
żar przesłoneczny i męki świadomy.

Ty trwaj w swej ciszy, kwietna jest i błoga;  
idzie ku Tobie w czas srebrzystych świtań,  
z westchnień aniołów i z oddechu Boga  
dając ci istność bez trwóg i zapytań.  
Wolno już temu poić się spokojem,  
kto go wziął wstępny bohaterskim bojem.

Trwaj w twojej ciszy, nią jesteś płonący,  
rycerzu światła z zamkniętą przyłbicą,  
w bój już za innych w wir skonów idący,  
jeno przed słońcem odkrywając lico,  
Zwycięstwo tylko miłując, nie Sławę.  
Cóż powiem Tobie?... Chyba tylko: Ave!...

*Kraków. 1909.*

# Chmury.

(Do obrazu Kaźm. Stabrowskiego).



Oto wielkie smętne pole,  
oto chmury, ciężkie chmury,  
nad samotną tęskną rolę  
kruk czarnymi błyska pióry.

W tajemniczym stoję kole:  
byty kłębią się u góry,  
senna ziemia czeka w dole.

Pełne sennych ogni góry  
rosną w pełną gromów dolę —  
tworzeniową pełnią wolę  
one chmury, ciężkie chmury.

W tajemniczym stoję kole  
i na groźne patrzę chmury:  
wąż mistyczny w złotym czole  
żrenic chciwych skrył purpury  
i nad senną pełźnie rolę.

Wąż mistyczny walkę stoczy:  
nie on jeden, zwycięstw chciwy,  
nad rozpaczne leci niwy, —  
wid się nad nim czarny chwieje —  
krew błyskawic się poleje,  
ziemi senną pierś ubroczy.

Jako w górze, tak na dole:  
bój na ziemi będzie wtóry.  
W tajemniczym stoje kole...  
Ach, te chmury, ciężkie chmury!..  
Ach, to wielkie senne pole!...

---

I zdało mi się, że zniknęły ramy  
wobec roztoczy, w którą duch wżęglował,  
i zdało mi się, że tajemnic bramy  
z zamków żelaznych świst wichru rozkwa:  
i potęg bożych tęczowe odłamy  
jęły się spuszczać od niebieskich pował,  
złotem błyskawic odziane, jak zbroją, —  
jęły się spuszczać w mrok, na ziemię moją.

Tu pola wielkie i łany orane —  
ziarno zasiewu czarne kradną ptaki:  
Hej! hej! niech idą wichry rozpętane  
przez piorunami oświecone szlaki!  
chmury niech idą czarne i miedziane,  
Apokalipsy płomiennie rumaki!  
Wichry niech idą i chmury niech płyną  
nad tę nieszczęsną wpół senną krainą.

Tam w górze walka. W burzliwe odmęty  
żądze żywiołów zestąpiły w pysze;  
twórcą ich życia duch w ciało zaklęty,  
ukrzyżowany, żebrzący o ciszę,  
a chociaż boski, jednak w ziemię wzięty.  
A losy walki na gwiazdach zapiesze  
płomienna ręka wszystkotwórczej Woli,  
z ducha poczętej i z tortur niewoli.

Jakkolwiek będzie, na tęskniącą rolę  
upadnie przecież deszczu nawałnica;  
jakkolwiek będzie, w wichrowym żywiole  
zadrży zbudzona życia tajemnica;  
jakkolwiek będzie, na rycerskim czole  
błyśnie w twarz wrogom słoneczna przyłbica,  
i przerażone ogniem zawieruchy,  
w hasło odlotu złe uderzą duchy.

*Warszawa, 1908.*





Tempi passati.



\* \* \*

O serce, ciche serce! na dworze zima, mróz,  
a tobie śnią się maje; na senny patrzysz las,  
na nieruchome gaje... Tam na gałązkach brzóz  
szron w srebrnej drży iskierce,—ty marzysz wiosny czas.

O serce, kwiatom wiernie! śnieg chłodny kurhan wzniośł,  
gdzie kwitły niezabudki i róże pełne kras...  
maj zawsze bywa krótki... na dworze zima, mróz,...  
O serce, słońcu wiernie, niewierny promień zgaśł.

Niewdzięczne rzuć marzenia i zrozum wichru śpiew  
i wsłuchaj się w westchnienia skostniałych z zimna drzew.  
Nic sił tak nie odbiera, jak próżnych marzeń głos!

Patrz, słońce już umiera czerwone jako krew, —  
zimowe słońce kona... Twój takiż będzie los —  
gdy zima rozśnieżona, ty chcesz kwiatowych ros!...

## PRAGNIENIE.

Niechby wichrom mącącym przestworza —  
ręce węzłem na karki zarzucić,  
mknąć w tułactwie od morza do morza,  
byle tylko nie wrócić!

Niechby kędyś, gdzie głos nie dochodzi,  
w samotności wieczystej się smucić,  
na bezwiosłej oparłszy skroń łodzi, —  
byle tylko nie wrócić!

Niechby piersią ścieśnioną od łkania  
requiem wszystkim pragnieniom zanucić,  
w noc odlecieć bez zórz i świtania, —  
byle tylko nie wrócić!...

ROZKAZ.

Stój nie pochylaj się nade mną  
i usta odsuń rubinowe,  
ja wyżej umiem podnieść głowę,  
bo piłam łyzy nienadaremno.

Nawet bez gwiazdnych ocz twych ciemno  
nie będzie, bo mi światła nowe  
zapalą dumy prawiekowe —  
stój, mową nie kuś mnie tajemną!

Piękne masz usta i źrenice,  
a słowa twoje tajemnicze, —  
lecz cudowniejsze mi oblicze

z za gwiazd ukażą tajemnice,  
co się ku ludziom zdawna chyła.  
Stój!—wieczność tam, a tyś jest chwilą!...

## TEMPI PASSATI.

Wieleby o tym mówić trzeba  
kaskadą śmiechu, falą łez,  
jakeś z miłości mojej nieba  
jak błędna gwiazda w mroku zczezł.

Trzebaby o tem mówić wiele,  
niechajby wtórzył mrący las  
i mrok tajemny, jak w kościele,  
kiedy ostatni witraż zgaśł.

Na staroświeckiej mandolinie  
zda się prababek nutą gram;  
księżyc po niebie w chmurkach płynie,  
na serc tragedję patrzy sam...

---

Nie, nie!... nie było białej szaty  
i na pamiątkę danych róż,  
klasztorne nie stanęły kraty,  
nie mówił o nieszczęściu wróż.

---

Nie można kochać nieustannie —  
Wciąż bada serce lekarz—byt,  
a w jego ciężkiej kwarantannie  
będzie-li duch marzeniem kwitł?

Z nad szczytów górskich w ziemi głębie  
dla lotnej myśli jeden krok,

już łą twych dłoni nie oziębie,  
bo lotna myśl zstąpiła w mrok.

---

Wieleby o tym mówić trzeba  
kaskadą śmiechu, falą łez,  
jakeś z miłości mojej nieba  
jak błędna gwiazda w mroku zczezł.

*Warszawa, 1908.*

\* \* \*

Żebyś ty odszedł odemnie w wieczór sierpniowy  
jak żniwiarz, znużony pracą, słońcem spalony,  
mający wrócić świtaniem do pracy nowej,  
z kłosów dojrzałych i ciężkich sprzętać zagony;  
jak żniwiarz, gwiazd pytający bez słowa,  
czy nie wypłynie na błękit chmura gradowa, —  
byłaby w tobie piękność i siła,  
kochałabym cię, tęskniła...

Żebyś ty odszedł odemnie jesiennym mrokiem,  
ze smutnie spuszczoną głową, powolnym krokiem,  
jak człowiek, co myśli wszystkie, ducha całego  
zasiewał w serca niewdzięczne, dnia nie ujrzawszy złotego,  
byłbyś świetlistszym od słońca,  
— szłabym za tobą tęskniąca  
i świętsza twoim cierpieniem,  
silniejsza twoim znużeniem,  
wierna do końca.

Lecz ty odeszłeś ode mnie  
przez łany srebrne i złote  
z piosenką, co ciszę mąci: —  
wyrwę z mej piersi tęsknotę!

Lecz ty odeszłeś ode mnie  
z spokojnym czołem i twarzą,  
gdy słońce kona w czerwieni i mrok się szerzy —  
pogardzam tymi, co w ciszy o jutrzni dla siebie marzą,  
ni na żniwiarzy nie zdadni, ni na szermierzy.

1905.



## I TY PRZEMINIESZ...

I ty przeminiiesz, jako ja przeminę, —  
zostanie wszechbyt w gwiazdzistej koronie.  
Pójdziemy w jakąś nieznaną krainę,  
gdzie jeno myśli łączą się, nie dłonie.

Umiłowany! my z oblicza ziemi,  
jako dwa płatki marcowego śniegu,  
stopione w locie tchami wiosennemi,  
jak rosy krople na listeczka brzegu,  
strącone wiatrem, — znikniemy oboje.

I huraganne porywy miłości,  
i te łzy moje i tęsknoty twoje,  
i te szalone obawy nicości  
znikną — lotniejsze od mgły porankowej.

I zniknie rozpacz, wzgarda, oburzenie,  
świadomość smętnej pracy Syzyfowej  
i bezowocne śmiertelne znużenie —  
te wszystkie fale na cierpienia morzu.

A te zachodu purpurowe łuny —  
pierwszych gwiazd blaski na lazurów łożu —  
i letnich nocy liljowe całuny  
znów będą ślać się pod stopy kochanków.

I te majowe balsamiczne noce,  
przeklęte jeno za szybkość poranków,

i te wietrzyku czarodziejskie moce —  
będą upajać rozkochane serca.

I te jaśminów krzewy śnieżno-złote,  
wstające cicho z wonnych traw kobierca,  
do pieszczot swoją przydadzą pieszczotę.

Czy moc miłości straci swą potęgę,  
że my w jej pieśni zostaniemy zgrzytem,  
że naszych imion w miłowania księgę  
nie zapiszemy złotem i błękitem?

Czy noc nie zechce już oświadczyń słuchać  
i gwiazdne oczy chmurami osłoni,  
że my nie będziem jak gołębie gruchać  
gdzieś u kwitnącej rozkosznie jabłoni?

Czy wietrzyk stuli skrzydła podniesione,  
jaśminów płatki poczernieją z żalu,  
że nasze usta nigdy niezłączone  
utrącą zwolna barwistość koralu?

I ty przemienisz, jako ja przemienę,  
zostanie wszechbyt w gwiazdzistej koronie,  
zostanie Mił o ś ć. Mamże kląć godzinę,  
co tchnęła lodem, rozerwała dłońie?

Umiłowany! miniemy oboje,  
zostanie piękno i młodość rozrzutna! —  
Dlatego zdala w zadumaniu stoję,  
dlatego ona świadomością smutna  
nie szukam ciebie...

*Bolesław, 1906.*

# Cień szczęścia.

WYKAZ  
1957

## I.

Nie zwyciężył mnie smutek, choć miał ręce ze stali,  
żał nie odniósł zwycięstwa nade mną;  
burza gromy krzesłała, a ja stałam, na fali,  
wicher w pierś mą uderzał daremno.

Duch spragniony mdłał nieraz, lecz zawładłam tęsknotą,  
rozpacz wziąć mnie nie mogła w ramiona,  
aż, sprzedziony z mgieł złotych, błysł cień szczęścia—i oto  
do stóp jego upadłam zwalczona.

## II.

A gdy przepomnę dawnych strat  
i wszystkich krzywd i wszystkich łez, —  
rozkwieci mi się szczęścia kwiat,  
niedoli mojej przyjdzie kres.

A gdy się stanę silną tak,  
że zerwę pragnień mocny sznur, —  
polecę w błękit niby ptak,  
poniżej gwiazd, powyżej chmur.

A kiedy będę długo trwać  
w cichości słanych słońcem pól, —  
pójdę po ziemi gwiazdy siać  
i w zapomnienie zmieniać ból.

A gdy już pocznę śnić bez snów  
u złotomodrych niebios wrót —  
o, daj mi, Boże, pragnąć znów  
i iść po szczęście jako wprzód.

### III.

Nienasyconym stał się duch,  
gdy szczęścia żądać począł —  
skrzydłom swym nadał wieczny ruch  
i do dziś dnia nie spoczął.

Z czary miłości długo pił  
nektary miodopłynne —  
misterną czarę rzucił w pył,  
gdy zoczył szczęście inne.

Począł w twórczości pędzić dnie,  
za słońcem kręgi toczył —  
ostawił lutnię w tęsknym śnie,  
gdy inne szczęście zoczył.

Braci prowadzić począł w blask,  
krwią własną drogę znaczył —  
ujrzał w zdumieniu nowy brzask,  
dzień nowy wraz zobaczył.

Poszedł w świetlistość tego dnia,  
nie bacząc, kto z nim dąży —  
dotąd na drodze onej trwa,  
w zawieji gwiazdnej krąży.

Nienasyconym stał się duch,  
gdy szczęścia żądać począł —  
skrzydłom swym nadał wieczny ruch  
i do dziś dnia nie spoczął.

#### IV.

A jeśli pragniesz szczęście zbudzić  
i już z nim być do końca dni,  
musisz się naprzód długo trudzić,  
choć ono w sercu twoim śpi.

Znieść musisz wiele umęczenia,  
by zedrzeć z ducha twego pleśń  
i czekać pieśni narodzenia,  
choć w twoim sercu ona pieśń.

Zapagniesz nieraz życie zrzucić  
niby odzieży zdartej szmat,  
będziesz się często w sobie smucić,  
choć w sercu twym radości kwiat.

I będziesz z trudem iść w niebiosy,  
i świat i Boga zowiąc złem,  
i będziesz szczęście pić jak rosy,  
choć strumień w sercu twym.

1907.





Zeschłej róży gałązeczka...



## JABŁONKA.

Obsypała się kwiatami  
białemi jabłonka,  
deszczyk rzeźwi jej listeczki,  
grzeje promyk słońka.

Wietrzyk pieści i całuje  
i szepce do uszka,  
że ładniejsze ma kwiateczki  
niż sąsiadka gruszka.

Ona mu się kłania wdzięcznie  
za te komplementy,  
patrzy na to słońko jasne,  
lazur uśmiechnięty.

Wietrzyk figlarz wciąż polata  
i wciąż szepce do niej,  
aż się nieraz zaróżowi  
biały kwiat jabłoni.

Spadnie deszczyk, to znów błysnie  
słońka promyk złoty, —  
płyną dni zaczarowane  
szczęścia i pieszczoty.

Biała jabłoń się uśmiecha  
niby panna młoda...  
Szkoda, że te kwiatki spadną,  
te śnieżyste — szkoda!

## Ś N I E N I A.

### I.

Lipcowy wieczór; mrok przezroczy  
zeszedł na pole przed chateńką...  
Pozwólże miedzą iść, mateńko,  
będą mi gwiazdne świecić oczy!

I oto idę cichuteńko,  
a jakaś tęskność serce tłoczy,  
śni mi się jakiś kraj uroczy...  
Czemużeś dała iść, mateńko?!...

Te kłosa szepcą dziwne baśnie  
o jakimś słońcu, co nie gaśnie,  
o srebrnym czólnie, modrej fali...

Ten wiatr leciuchny skronie pali...  
I oto idę dalej, dalej,  
a kłosa szepcą dziwne baśnie.

### II.

Jak pączek róży skryć nie może  
pełnego łona w swej kolebce  
i nad zielone miękkie łoża  
karminem świeci, tak w izdebce

mnie ciasno mojej, dobry Boże!  
Jaśmin za oknem z wiatrem szepce

i taka srebrna noc na dworze,  
a mnie tak duszno w mej izdebce!...

Ja ciszy nocy tej nie zmacę,  
na rosy chłodne i błyszczące  
stawiając stopy me różowe...

Jeno te szepty jaśminowe  
pod słucham lepiej, tuląc głowę  
we kwiecie białe i pachnące.

### III.

Bładobłękitne gwiazdy gasną  
i niebo wschodnie różowieje.  
W okienku chatki na pół jasno...  
To dnieje, matuś moja, dnieje!

Włożę na głowę chustkę krasną  
i granatowy gorset wdzieję,  
wyszyty ręką twoją własną, —  
sznurem korali go rozśmieję.

I pójdę, strojna tak, we wrota,  
gdy wszędzie twarz słoneczka złota,  
i będę w jego blaskach stała

złocista i rumiana cała,  
i będę, matuś, tak czekała,  
bo czekać każe mi tęsknota.

PAMIĄTKI.

Zeschlej róży gałązeczka,  
pierścień włosów blond  
i medalik i wstążeczka —  
skąd ja mam to, skąd?

Matki Bożej twarz bolesna  
medaliczek ten —  
źle wróżyłaś wiosno wczesna,  
źle zaczęłaś sen.

Zeschła róża aksamitna  
sieje kruchy liść,  
znikła z włosów woń niechwytna—  
czas wam w ogień iść.

---

Błysnął płomyk niebieskawy,  
z złotą zgasnął skrą —  
tylko wciąż medalik łzawy  
srebrną płacze łzą.

### WSPOMNIENIE.

W zbożu kwitły nam bławatki  
i świeciło złote słońko;  
za liściastą drzew koronką  
w zbożu kwitły nam bławatki;  
upierlone rosą kwiatki  
modrą wiły się plecionką...  
W zbożu kwitły nam bławatki  
i świeciło złote słońko!

W duszach naszych było jasno;  
w sercach było cicho, rzewnie  
i gwiazdzisto i powiewnie...  
W duszach naszych było jasno...  
Myśl rzuciła drogę ciasną  
i w dal biegła ufnie, pewnie...  
W duszach naszych było jasno,  
w sercach było cicho, rzewnie!

Przeszło wszystko jak dumanie,  
jak sen w nockę księżycową,  
jak dźwięk lutni ponad głową...  
Przeszło wszystko jak dumanie...  
Lecz snop wspomnień pozostanie  
z łezką żalu kryształową, — — —  
Przeszło wszystko jak dumanie,  
jak sen w nockę księżycową...

S N Y.

Z liljowych dzwonek wianek wij,  
leciuchny wianek —  
i z nim na skroni białej śnij  
w złoty poranek...  
śnij! . . .

Dzwoneczki dzwonią w cudny ton  
czarowne pieśni...  
i na wybrzeży gwiazdnych stron,  
życie się prześni...  
prześni! . . .

Li-duchem kwiat, li kwiatem duch,  
ach, wiedzieć po co?  
Wieje po niebie chmurek puch,  
Gwiazdy się złocą...  
złocą . . .

Kropelka rosy — srebrne „ja” —  
słoneczne morze...

Powiek pieczęcią cicha łąza,  
a w niej różane płoną zorze...

Nad wodą skrzą błękitne łątki,  
lilije śnią  
pieszczoty wiatru—chwil pamiątki...  
złudzeniem zło . . .

Jak cicho płynie życia łądź  
w liljowe mgły!...  
Co gwiazdy szepcą?...  
— Wróc się, wróc!...  
to tylko sny!....

1-VIII-908.



## NIEPEWNOŚĆ.

I zdało mi się, że idę ugorem  
w poranek wietrzny a w sercu tęsknota,  
a nie wiem wcale, gdzie zajdę wieczorem,  
na jakie pola i pod jakie wrota.

Zrywa się wicher nad milczącym borem,  
poświst jesienny konarami miota,  
a ja nic nie wiem, gdzie zajdę wieczorem,  
a w sercu moim pustka i tęsknota.

I przycichł wicher; błękitnym kolorem  
wdzięczy się niebo, dał słońcem migota,  
a ja nic nie wiem, gdzie zajdę wieczorem,  
ku jakiej chacie i pod jakie wrota.

Ni mi polecieć z żórawi taborem,  
ni pod sosenką spocząć jak sierota,  
ani mi zgasnąć błędnym meteorem,  
ani mi świecić jako zorza złota.

Idzie już nocka z swym gwiazdzistym dworem,  
jak złotą kądziel blask miesięczny mota,  
a ja nic nie wiem, gdzie spocznę wieczorem,  
jakiej mi chaty otworzą się wrota.

1908.

### ŚPIJ W SPOKOJU...

I znowu idą dni jesienne  
i chłodny pluszcze deszcz —  
O, śpij w spokoju, wiosno cudna! — — —  
Jak sercem wstrząsa dreszcz...

O, śpij w spokoju, ty jedyna,  
w te zimne chmurne dni,  
nad twoim grobem wicher płacze  
i moje płyną łzy.

O, śpij w spokoju, wiosno cudna!  
gdy grób zawieje śnieg,  
nie marmur w kształt anioła kuty, —  
mój duch cię będzie strzegł.

Mój duch z skrzydłami spuszczone  
u śmierci stanie wrót,  
i będzie czekał żałośliwy,  
czy się nie stanie cud.

Czy się nie zbudzisz, wiosno cudna  
ze snu wiekowych zim,  
żeby z trumnicy wstać spróchniałej  
i w błękit lecieć z nim.

Po zgaśnięciu płomieni.



I.

Bywają gwiazdy złe  
co blaskiem łudzą  
i tęskność budzą —  
i w mroki wiodą  
spojrzeń pogodą.  
Czy wiesz, że oczy twe  
to takie gwiazdy złe?

II.

Pamiętaj, że na wieki  
wbiteś te srebrne ćwieki  
przez ręce me i nogi  
w drewno krzyża.  
Ból zbliża:  
przywiodą cię złe drogi  
ku mnie, w mój sen daleki —  
pamiętaj, że na wieki!

III.

Jak winogradu wędnący liść,  
jak jarzębiny czerwona kiść,  
tak zapłonęło serce w mej piersi  
z żalu, że ludzie wtedy są szczerzi,  
gdy od nich dalej iść.

Winograd zwiędnie za kilka dni,  
spadną jarzębin czerwone łzy,  
tylko się żal mój z serca nie zsunie,  
wykwitnie wiosną w wspomnień pioletnie,  
bo z ludźmi byłeś Ty!

IV.

Zdeptane kwiaty mrą  
w pyle rozstajnych dróg—  
Djonizos ich nie wskrzesi,  
choć i on bóg.

Zdeptane kwiaty schną  
w srebrze miesięcznych smug —  
pieśń szczęścia echo niesie  
na rośny łuk.

Zdeptane kwiaty mrą...  
Czy idzie druh, czy wróg—  
Artemis krąży w lesie  
i pręży sprawny łuk.

V.

Śpią dzwony w wieczornej mgle  
i we mgłach droga ginie —  
w białym przesunę się gzie —  
w twych snów beztroskiej krainie.

I, zanim powstanie dzień,  
zatargam wszystkie dzwony  
i we mgłach zniknę, jak cień,  
a ty mnie przeklniesz zbudzony.

VI.

Po zgaśnięciu płomieni  
jeno żar się czerwieni,  
gdy czasem wicher zawieje.

Spaliły się nadzieje  
na żuźle, a te stygną  
i ledwie iskrą migną,  
kiedy wiatr się zaśmieje.

Po zgaśnięciu płomieni  
dzień wstaje bez promieni  
i chłodne rosy sieje.

*Kraków, 1910.*





# Rosy poranne.

Pamięci

STANISŁAWA WYCZAŁKOWSKIEGO



## I.

Przysięgam jako przed ołtarzem,  
że ani w cnotcie, ani w grzechu,  
ani w spokoju, ani w walce  
nie znają usta me uśmiechu!

To słońce takim jest rzeźbiarzem  
o mocy twórczej, i czasami,  
gdy na nie złoży złote palce,  
zdają się kwitnąć uśmiechami.

## II.

Lubię lekkie barwy świtu,  
kiedy drzemie stawu głębia;  
lubię srebrny lot gołębia,  
kiedy słońce u zenitu.

Lubię w ciepły zmierzch różany  
złoty brzeżek na obłoku,  
lubię pierwszą gwiazdę w mroku,  
i twój uśmiech zadumany.

III.

Coś mnie woła, słyszę dokoła...  
Czy to szelest skrzydeł anioła?  
czy to wietrzyk róży pierś trąca?  
czy to czasa winem szumiąca?

Coś mnie woła, słyszę dokoła,  
a zrozumieć dusza nie zdoła —  
czy to płyną głosy stokratne,  
czy to bije serce samotne?

IV.

Miałam piękny sznur pereł  
na jedwabnym przedziwie —  
rozsypane niebacznie  
pozbiałam skwapliwie.

Jedna tylko zginęła...  
że jej znaleźć nie mogę,  
dziwną tęskność odczuwam,  
dziwną tęskność i trwogę.

V.

Nikt nie słyszał pieśni tej,  
nikt nie widział, jako szły  
w blask świtania cudne sny.  
Prawom mądrym wierzyć chciej —  
żyje pieśń i żyją sny.

Nikt nie słyshał w tamte dni,  
więc czar przyjdzie jeszcze raz,  
w jutrzenkowy wiodąc czas  
wtórą pieśń i wtóre sny.

## VI.

Ach, droga ciężka, droga zła,  
w rozmiękłym śniegu więzną nogi,  
na polach noc, na polach mgła —  
do ciebie idę, mój drogi! —

Ach, droga ciężka, droga zła,  
wicher nagie drzewa tak kolebie!...  
Ja będę szła, wciąż będę szła —  
mój drogi, idę do ciebie!...

## VII.

Jak płomienia cudne kwiaty  
w strzelistości swojej zmienne,  
tak i myśli twoich światy  
wiecznie inne a płomienne.

Płomieniowe zemrą jaśnie,  
popiół może wicher rozwionąć —  
ty, choć serce twoje zaśnie,  
wieczną myślą będziesz płonąć.

VIII.

W lampie rzeźbionej z alabastru  
złota paliła się oliwa.  
Wicher z kolumny zrzucił lampę,  
spada jak gwiazda migotliwa.

Lampa rozbita w prochu leży,  
zwolna oliwę ziemia pije, —  
płomień... ach! płomień wzniósł się w górę,  
wypiękniał dziwnie i wciąż żyje!...

IX.

Niechaj gwiazdy pogasną,  
niech się zorza rozpali,  
rzuci błyski opali  
na jeziorną toń jasną!...

Niech w skonaniu pobledną  
gwiazdy mądre i zgasną,  
niech zaświeci nam jasno  
słońce żywe i jedno!...

# Rosy wieczorne.





## C I E Ń.

Od mej postaci pada cień  
w rozradowany słońcem dzień - - -  
na rozkwicenie róż namiętne  
cień rzuca moje serce smętne.

Od mej postaci pada cień  
w noc pełną księżycowych lśnień - - -  
na utulone w śnie powoje  
cień rzuca smętne serce moje.

Mija mrok nocy i blask dnia,  
a my wciąż razem: cień i ja - - -  
Na nowe róże i powoje  
cień nowy rzuci serce moje.

*Maj, 1908.*

„LILIJE”.

Tylko cicha woda stojąca,  
tylko cicha, ogromna woda,  
tylko na niej blask miesiąca,  
zadumanych głębin pogoda.

Wyrastają wielkie „lilije“,  
cicho, cicho wzwyż się podnoszą,  
złote serce w lilijach nie bije  
ani bólem ani rozkoszą.

Tylko cicha woda stojąca  
tylko na niej białe lilije — — —  
wąż pierś wody cicho roztrąca,  
wokół lilji zwolna się wije.

## ŚNIEG.

Ach, wiem! — już pola okrył śnieg,  
i lasy srebrem kwitną,  
na szybach baśnie pisze mróz  
w miesięczną noc błękitną.

I marzy mi się mrozu baśń  
i ogień na kominie . . .  
W cyprysów gaj z nad śnieżnych pól  
prąd ciepła ku mnie płynie.

*Pisa—Grudzień.*

### DAREMNOŚĆ.

Miej litość, słońce! Promienie złote  
budzą bezkresną moją tęsknotę!  
Miej litość, wietrze! twoje pieszczoty  
stają się życiem mojej tęsknoty.

O nocy letnia! tęsknotę moją  
miesięczne blaski rzeźwią i poją  
i tytanicznej nabiera siły!  
A jednak — nieme stoją mogiły...

NA CMENTARZU.

Obleciały z róż korony,  
krzewy podarł wicher szalony....  
Czy ty chodzisz na ten cmentarz?  
Czy ci księżyc złoci włosy,  
gdy się w szron stężają rosy?  
Czy pamiętasz?

Wszystko jedno!—chwile biega...  
Cóż mi przyjdzie z smutku twego?  
Cóż ci przyjdzie z moich pytań?  
Bez pożegnań tośmy w dali,  
by się w gwiazdnej spłynąć fali  
bez powitań.

NOC MAJOWA.

Taka sama noc majowa  
jak za tamtych dni,  
księżyc się tak samo chowa  
za leciuchne mgły...

Taka sama noc majowa  
z westchnieniami bzów,  
jeno zmiłkły tamte słowa,  
niema tamtych snów!

SŁOWA.

Krzak bezlistny? — Niel tu różel  
Mrok naokół? — Niel tu jaśń!  
A na różach rosy duże —  
nieskończona cudna baśń.

Cisza smętna? — Niel tu słowa,  
jeno takim jest ich szmer,  
jaki smuga księżycowa  
czyni, płynąc z tamtych sfer.

## W ŚWIĄTYNI.

W świątyni cisza i mroki —  
spokój głęboki —  
Przed Panem wszego żywota  
lampa migota  
jak róża purpurowa:  
błysk rzuci, to znów schowa.

Na serce moje napływa  
fala pieściwa, —  
rozprasza smutki i ciemnie..  
kościół jest we mnie.



ZAMIANA.

Jakaś melodia zabłąkana  
między falami i gwiazdami  
wkrąg serca mego wstęgą płynie —  
waha się lotna i różana  
i liljowemi skrzy ogniami,  
ucieka, ginie  
między falami i gwiazdami.

I dziwna spełnia się zamiana:  
rytm serca dźwięczy rytmem fali,  
ma gwiazd wschodzących rozsrebrzenie ———  
...a gdzie melodia zabłąkana  
w nieogarnionej wzrokiem dali —  
idą płomienie  
od piersi gwiazd na piersi fali.

### GWIAZDY—MYŚLI.

Jak roje pszczół zastygłych w locie,  
jak roje złotych pszczół,  
na niebie gwiazd się mienia krocie  
w magicznym dla nas lśniąć uplocie  
trójkątów, krzyżów, kół.

Jak roje gwiazd, w wieczystym locie  
kreślących bezmiar kół,  
wciąż płyną ludzkich myśli krocie  
w miłości wiecznej i tęsknocie —  
dla gwiazd — jak roje pszczół.

*Warszawa, 1908.*

# Refleksje pejzażowe.

BRATU.



## TOPOLE.

Na tle zorzy, co krasna się pali  
jakąś smętną gasnącą pożogą,  
szereg topól bezlistnych nad drogą,  
coraz mniejszych dla oka w oddali.

Szereg topól wysmukłych i lotnych  
na tle zorzy czernieje nad drogą,  
szereg cichych pielgrzymów samotnych,  
co do słońca dojść nigdy nie mogą.

### MARZENIA.

Jeszcze morze po słońca zachodzie,  
złote blaski przelewa przez fale,  
lecz już razem w liljowej pogodzie  
wód i niebios zlewają się dale.

A tam, kędy widnokrąg ten mgławcy,  
lekkie w liniach, o barwie kamienia  
stoją smętne i ciche trzy nawy  
jak zaklęte na senność marzenia.

### GRANICE.

Na szafirach o nowiu księżycą  
gór zębatych rysuje się ściana,  
jednym płaszczem czarność odziana —  
między niebem i ziemią granica.

I ta linja wierzchołków łamana  
tak się jasno od nieba odcina,  
jak dni naszych posępna kraina  
od krainy, co ciszą nazwana.

BAJKA.

Błękit nieba łagodny, marzący;  
gaj brzozowy spogląda z nad rzeczki,  
gaj brzozowy, co zrzucił listeczki,  
stoi złotem gałązek świecący.

Stoi lekki jak lśniąca zastona—  
tak jest siatka gałęzi niechwytną! —  
znajdź mi bajkę, gdzie słońce nie kona,  
taką złotą i taką błękitną!



### NA JEZIORZE.

Na jeziorze w północnej godzinie  
białe lilje rozwarły kielichy.  
Zda się wielkich motylów rój cichy  
kąpie skrzydła w szafirów głębinie.

W mgłach widnokrąg roztapia się, ginie —  
dalej w srebrną spowite zasłonę...  
tęsknią lilje do wód przytulone  
na jeziorze w północnej godzinie.

WIDMO.

Noc i burza. Świat w kirów powodzi...  
a gdy niebo piorunem rozbłyska,  
szkielet murów starego zamczyska  
zda się w świetle błękitnym z gór schodzi.

Noc i burza. Duch w kirów otoce...  
a gdy wspomnień grom jasny uderzy —  
widmo szczęścia z podniebnych rubieży  
idzie w błyskach i serce druzgoce.

*Viareggio, 1909.*

W Alpach.



## P O T O K.

Szumi potok spieniony, z gór tanecznie zbiega,  
rozbija pierś o głązy i śmiechem wybucha,  
patrzą nań ciche drzewa z zielonego brzegu,  
patrzy skalne urwisko i duma i słucha.

Alfa dlań—to szczyt górski, a morze Omega;  
spiesz, w fale zakławszy zbudzonego ducha;  
nigdy się wstecz nie cofa, walki nie wystrzega—  
rozbija pierś o głązy i śmiechem wybucha.

Tam, na równiach zielonych w rzekę się zamienia,  
w srebrną i modrą wstęgę wody rozpierścienia,  
senliwie na głębokim przeciąga się łożu

i do stóp oceanu kornie skroń przyciska.  
O, naucz nas, strumieniu, drogi przez urwiska  
i tajemnicy życia w nieśmiertelnym morzu.

### OBŁOK.

Na wyniosły szczyt górski obłok płynie biały —  
przytulił się doń miękko i otoczył wokół;  
zorze się w nim różanym blaskiem rozigrały,  
w pancerz ze złotych iskiei blask słońca go okuł.

Znieruchomiał — i jedną całością się stały  
szczyt góry i ten obłok, co go tuli wokół.  
W tym wicher wionął, i światła zorzy pomętniały —  
obłok powstał i skrzydła rozpostarł jak sokół.

Już do innego szczytu piersiami przypada,  
innym śniegom ze swoich dumań się spowiada,  
inne skronie pieściwie otula w zasłony.

O, ty, obłoku marzeń w ludzkiej naszej doli,  
masz różane odbłaski, masz i lot sokoli  
i zawsześ między nami i słońcem zjawiony.

## PRZEPAŚĆ.

Przed tysiącami wieków wstrząsnął ziemi łożo  
wielki skurcz tworzeniowy—w błysku się rozpadło,  
w przepaść dziką i groźną i nienasyconą,  
choć się już tyle głązów na jej dnie pokładło.

Bieży tam kędyś w dale falą rozpienioną  
górski potok, przemyka jak blade widziadło,  
i wabi i przyzywa mową przyciszoną.  
Stoję na zrębie z twarzą wzruszeniem pobladłą —

jakaś moc mnie przyciąga, jakiś głos mnie woła,  
widzę błyski czerwone, czuję ciężkość czoła...  
A gdyby tak rozewrzeć szeroko ramiona  
i tam, tam na te głązy, na te chłodne piany!

..Tak nas przynęca miłość pragnieniem nirwany,  
lecz tej czarowna siła jest... ach, niezwalczona!

## JEZIORO.

Między szczytami krągłe, głębokie jezioro,  
wielka czysta źrenica w błękit zapatrzona,  
czarna albo srebrzysta wieczorową porą,  
we dnie cudnie błękitna, lub ciemno zielona.

Złotego słońca blaski chwilami w niej gorą,  
to znowu mgły obłokiem lekko zatulona;  
czasem, zda się, że wichry słodycz jej odbiorą,  
gdy złota błyskawica na powierzchni kona.

O ty, słodkie jezioro, gwiazd i słońca bliższe  
od wszystkich wód tej ziemi i dlatego cichsze  
i dlatego toń twoja taka niezgadniona.

W twoim sennym spokoju wiedzy tajemnica —  
tyś wiecznie czuwająca złocista źrenica —  
wichry zmrużą spojrzenie, lecz nie sięgną łona.



N O C.

Mrok przezroczy i modry a razem srebrnawy,  
zieleń krzewów zciemniała; gór spiętrzonych ściany  
łączą do barw zszarzałych odcień błękitnawy;  
sennie bielą się ścieżki i potoków piany.

Księżycą sierp wygląda z szafirów oprawy  
światlistym seledynem cudnie malowany,  
gwiazd brylanty błysk mają preczysty i łzawy;  
kędyś nad przepaściami białe śpią tumany.

O nocy! twoja chłodna, lecz słodka pieśczoła  
budzi mi w sercu jakieś zapomniane echa,  
i oto mi w źrenicy łąza srebrna migota,

i oto mi się dusza boleśnie uśmiecha:  
gwiazdy choć są światami, wiecznie tobie stałe,  
serce ludzkie niewierne, niewierne—choć małe.

### PORANEK.

Cisza. Wschodzące słońce szczyty gór różowi.  
Woń świeżości i chłodu, doliny pod mgłami.  
Hen, daleko, podobny srebrnemu wężowi  
zbiega z wyżyny strumień gibkimi skrętami.

Lecz tutaj jego szmeru ucho nie ułowi,  
tu cisza — mgła na dole, różowość nad nami...  
Pół myśli już się kłania wschodzącemu dniowi,  
pół myśli trwa w spoczynku z gwiazdzistymi snami.

Oto się wzbiło słońce nad śnieżne przetęcze,  
błyszczą z pod mgły welonów dolin kwietne szaty,  
oto świecą się w rosach milionowe tęcze...

Rój dumań pójdzie w błękit złoty i skrzydlaty —  
rój dumań pójdzie przędzie rozsnuwać pajęczę  
na dnach przepastnych szczelin, gdzie nie wschodzą  
[kwiaty.

## DROGA.

Wyżej! dalej! odważnie! Cóż że ścieżka stroma,  
że razem obok siebie iść po niej nie można?  
Dalej! tych ostrych głązów chwytaj się rękoma,  
kiedy się wstecz obsuwa stopa nieostrożna.

Przepaść od strony serca groźna i przemożna,  
płynie z niej mgłą błękitną potęga kryjoma,  
niech się do skalnej ściany skroń przytuli trwożna!  
Dalej! tych ostrych głązów chwytaj się rękoma!

Już obłok niby tuman skronie nam opływa,  
orzeł spłoszony z gniazda skrzydłami szeleści,  
bieli się pierś lodowca w słońcu migotliwa

i od nizin już żadne nie dochodzą wieści.  
Dalej! — jeszcze to zbocze przestwór nam zakrywał  
Dalej! — jeszcze ta ścieżka razem nas nie mieści!

## SZCZYT.

Szczyt!... Jakże serce bije... Hejże lećcie oczy  
na te drogi przebyte strome i wężowe,  
na te wierzchołki śnieżne w błękitnej przezroczy,  
na tych strug bystropiennych wody kryształowe!

Obłok błyskaniem złoty owinął mi głowę,  
do stóp tłum gór tytanów pokornie się tłoczy —  
mam teraz myśli orła i serce orłowe —  
hej, skrzydeł a popłynę w słonecznej roztoczy.

Tu zostać z onym szczęściem, co oddech rozżarza,  
a potym w modlitewną rzewność się zamienia!  
Tu zostać z wizją słońca, z uśmiechem mocarza.

w ekstazie zadumania, w zenicie istnienia!  
Tu zostać!... Wionął wicher, w żyłach krew zamraża.  
Wrócić trzeba — gdzież siła nad siłę cierpienia?

*Pisa, 1908*

# Wizje.



## W I Z J E.

I zaśnieżyły mi się gaje  
ciemne na tle turkusu nieb.  
Co krok to smętna postać staje,  
a ciała śnieżne złoci Feb  
lub je rozświeca purpurowo,  
gdy w mórz głębinę szmaragdową  
schodzi, przebiegłszy niebios step.

Między winnice roześmiane  
opalem i fjoletem gron  
snują się bogi zadumane —  
herosy mych rodzinnych stron,  
i plotą mi się w białe wieńce  
dziewoje cudne i młodzieńce,  
tańcząc pod rytmów życia ton.

Nad przepaściami po gór stokach  
dziwożon się przesuwają tłum,  
a na wierzchołkach, już w obłokach,  
wsłuchany w orlich skrzydeł szum,  
nie jeden mi Prometej nowy,  
śniący dla ludu świt ogniowy,  
cierpi za śmiałość twórczych dum.

I między jońskie kolumnady  
w świątyni mrocznej, kędy dzień  
w wysokich nawach ginie blady  
lub purpurowy rzuca cień,  
kiedy przez okna zasłonięte  
chce na ołtarze patrzeć święte,  
podobna do bajecznych śnień —

idzie mi naszych pól dziewczyna  
w warkoczach złotych, w wieńcu zbóż,  
oczami chabry przypomina,  
a licem barwy polnych róż.  
Idzie mi cudna kolorowa  
Madonna smętnej ziemi Słowa  
i pól pszenicznych Anioł-Stróż.

A na cmentarzach, kędy drzemie  
krzyżów z marmuru nizki las,  
kędy nad prochów kwietną ziemią  
anioły zimne w każdy czas  
rozpościerają śnieżne loty —  
w sukmanach płaczą mi sieroty  
obejmujące krzyżów głąz.

A ponad morzem w czas jutrzniany,  
gdy dzień poczyna blaski snuć,  
na złoty żagiel wiatrem gnany,  
na lekką cichą patrząc łódź,  
widzę męczenną twarz nędzarza,  
co kraj swój rzucić się odważa,  
i chcę ze łzami wołać: wróć!

*Viareggio, 1909.*



„In mezzo del cammin  
di nostra vita”.



## WESTCHNIENIE

Tak się dziwnie moje życie składa....  
Ni to zorzy kolory o świcie,  
Ni to nocą mgła na łąkach blada,  
Ni to fala, co z liljami gada —  
Tak się dziwnie składa moje życie.

Jak różaniec dni snuję w zadumie,  
Zda się dusza omdlenia nie czuje,  
Zda się tęsknić i płakać nie umie,  
A tak bardzo samotna, choć w tłumie,  
Jak różaniec w zadumie dni snuję.

Gdzie te chwile słoneczne, gorące,  
Gdzie te myśli tajemne, serdeczne,  
Gdzie to serce za dolą płaczące,  
Zawsze wierne i zawsze tęskniące?  
Gdzie te chwile gorące, słoneczne?

Ni je wzięto na siewy o wiośnie,  
Nie porwały ich rzewne rozlewy,  
Nie zginęły wśród walki rozgłośnie,  
Nie skonały, patrząc miłośnie,  
Ni je wzięto o wiośnie na siewy.

Coraz dalej pieśń święta odchodzi,  
Coraz częściej w ton echa ujęta,  
Coraz rzewniej i ciszej zawodzi,  
Coraz bledsza w chmur szarych powodzi.  
Coraz dalej odchodzi pieśń święta.

Chcę ją ująć, bezwładne mam dłonie,  
Chcę ją wołać, nie biegnie z słów żadne...  
Coraz niżej bezmocną skroń kłonię,  
Coraz senniejsz spoglądam na tonie —  
Usta nieme i dłonie bezwładne.

Chyba do mnie ktoś spłynie ze słońca,  
W jakiej innej rozbudzi krainie,  
Jasną dłonią, co w struny gwiazd trąca,  
Pieśni moje dośpiewa do końca...  
Chyba do mnie ze słońca kto spłynie...

\* \* \*

A kiedy lecą wichry bardy,  
gdy rubinowa gaśnie zorza,  
grać na srebrzystych strunach morza  
hymn przepotężny, groźny, hardy —  
trzebaby wziąć ich wszystkie loty  
na jeden akord mej tęsknoty.

Kiedy się słońce żegna z falą,  
zmienia kraj nieba w toń purpury,  
a zawieszono nad nim chmury  
krwawą się miedzią cicho palą, —  
trzebaby wziąć ten zachód złoty,  
na jeden płomień z ócz tęsknoty.

A kiedy w nocie nieświecące  
w szafirach księżycowym blaskiem,  
z klepsydry niebios srebrnym piaskiem  
sypią się gwiazdy spadające —  
trzebaby wziąć tych gwiazd klejnoty  
na jeden cichy płacz tęsknoty.

*Viereggo, 1909.*

\* \* \*

Wiem, że jesteś, gdy patrzę na skłębione chmury,  
gdy ciężkie czoła sosen chłodny wiatr kołysze,  
wiatr, który mnie przenika i wokół mnie dysze,  
jak królewski kochanek, co wstał z snów purpury.

Wiem, że jesteś i przyjdiesz z wichrami i burzą —  
Zapali mi się serce od miłości gromu,  
błyskawice twych źrenic oczy moje zmrużą  
i dam ci pocałunek nie dany nikomu.

*Krzeszowice, 5-VI-910.*

## ZJAW SIĘ.

Tak mało żądam za moją tęsknotę,  
za to, że serce bije tak boleśnie—  
gdy na szafirach błysną gwiazdy złote,  
zjaw mi się we śnie.

Niechaj mnie wszystkie odejdą anioły,  
niech wszystkie blaski tęczowe pogasną,  
tylko niech widzę, czuwając napoty  
twoją twarz jasną.

Bo cóż mi wizje z mgieł różanych tkane,  
bo cóż mi błyski ich złotych warkoczy,  
gdy na mnie będą patrzeć zadumane  
twoje cudne oczy!

I chociaż z pierwszym jutrzennym promieniem  
moja tęsknota i mój smutek wskrześnie,  
bądź nocy moich srebrnym zachwyceniem —  
zjaw mi się we śnie.

## BĄDŹ POZDROWION.

Witaj mi! Bądź pozdrowion!... Choć nie widzą oczy,  
duch cię czuje — ty z tęczy i słońca zjawisko!  
Ty skrzydła masz i kręgiem ruch skrzydeł się toczy,  
aż stanąłeś nade mną i przy mnie tuż... blisko...

Witaj mi! Bądź pozdrowion! Ku ustom się tłoczy  
huragan słów radosnych... a głowę tak nisko  
pochylałam w pokorności, że ciężar warkoczy  
opadł przed stopy twoje we złote kolisko.

Witaj mi! Bądź pozdrowion! ty zdawna czekany  
wędrowcze, zapóźniony u gwiazdnych przełęczu,  
jeszcze ramionom obcy, a już miłowany!

Nienarodzone słowo, które rzekniesz, dźwięczy  
mi w strunach serca miłosne peany...  
Witaj mi! Bądź pozdrowion... Duch przed tobą klęczy.

*Kraków, 1911.*



\* \* \*

Jeżeli pragniesz snu — będę ci snem,  
jeżeli pragniesz ciszy — będę ciszą.  
anieli przyjdą ze mną—ukołyszają,  
Anieli staną wkrąg nocą i dniem.

A jeśli życia pragniesz—swoje ci dam,  
a jeśli samotności—pójdę sobie...  
Przekreśli serce siebie by żyć w tobie,  
przekreśli serce siebie, abyś został sam.

*Kraków, 1910.*

## KLEJNOTY.

Ponad muszlą w ciemnym oceanie  
płyną fale odmętne, skłębione —  
w łonie muszli ciche pracowanie  
na królewską bezcenną koronę.

Otom cicha w życia oceanie  
wicher nade mną odmęty kolebie —  
serca mego wierne pracowanie  
przędzie perłę miłości dla ciebie.

### KOŁYSANKA.

Daj mi twoją drogą głowę —  
w dłonie ją utule!...  
przyhołubię, ukołyszę,  
odmęt myśli zaknę w ciszę  
na sny marmurowe.

Cóż ja szepcę w obłąkaniu  
łez przezroczych, w zadumaniu,  
o twych ust kielichu?  
Tyś monarszą togą woli  
opowinion w splot niewolil...

Gdybyś usnął, to ja sama  
błyskawicą bratnich mąk  
do twych bym przypadła rąk!  
Spalenizny czarna plama  
od mych spojrzeń by została  
na twym czole! Ja bym śmiała  
być piorunem dla twych śnień, —  
bo wy jedno—ty i dzień!

Niech śnią króle, niech śnią mnichy  
sen rozkoszny i sen cichy —  
dla nich miękkie łoża.  
A ty musisz z huraganem  
lecieć ponad oceanem  
kędy senność Boża!

Daj mi twoją drogą głowę,  
w dłonie ją utulę  
na niespanie wieczne...  
Mego serca skry ogniowe  
po mych palcach się zesuną  
jak błyski słoneczne.

PRZEZ OCZY TWOJE.

Przez oczy twoje, ziemi gardząc wrzawą,  
podniósłszy głowę, w nieskończoność patrzę;  
przez głębię oczu twoich błękitnąwą  
wszystkie znam barwy przycichłe i bledsze  
i wszystkie blaski mym źrenicom znośne —  
słońca jak gwiazdy słodkie i miłosne.

Jesteś mi ciszą i ciszy napojem,  
jak w noc, gdy w sadzie jabłoni kwiecie roni;  
jesteś mi zdawna czekanym spokojem,  
jak odbłask nieba na wzburzonej toni,  
Tyś wichrem losu szpony startł jastrzębie  
wzrokiem, co ciszę, słońce ma i głębię.

18-VII-911



## SPIS RZECZY.

---

### I. TEZY I ANTYTEZY.

#### INTRODUKCJA.

#### TEZY.

1. Roztworzę duszę moją wam . . . . .	9
2. Gdyby mi iść daleko, hen! . . . . .	9
3. Miłuję ciebie, świecie zły . . . . .	10
4. Jedyny duchu bratni mój . . . . .	11
5. Jak to rozkosznie musi być . . . . .	11
6. Wszedł w mej duszy buntu chwast . . . . .	12
7. Upadła dusza moja . . . . .	13
8. I oddam życie . . . . .	14

#### ANTYTEZY.

1. Moją jest winą . . . . .	17
2. Jeśli w zaświatach . . . . .	18
3. Jestem jak rolnik . . . . .	18
4. Już głosu twego nigdy nie posłyszę . . . . .	19
5. Chociaż ucieka z smutnych warg . . . . .	19
6. Nie dla nagrody . . . . .	20
7. Po co żyję? . . . . .	21
8. Wiem, że oczy wypatrzę . . . . .	21
9. Los tu rządzi, Ananke . . . . .	22

### II. WITRAŻE.

1. Magdalena immortalis . . . . .	25
2. Mahadewa . . . . .	29
3. Sanctus Augustinus . . . . .	31

### III. OGNIWA.

1. Byłam greczynką . . . . .	37
2. Miałam przepyszne włosy . . . . .	38
3. Jako Hestji kapłankę . . . . .	39
4. Widzisz tę bliznę . . . . .	40
5. Posąg Perkuna . . . . .	41
6. W gontynie . . . . .	42
7. Całunem czarnym mnie nakryli . . . . .	43

### IV. ROZMYŚLANIA.

1. W labiryncie daremnych dociekań . . . . .	47
2. O wschodzie słońca . . . . .	48
3. Śmieję się, duszo . . . . .	49
4. To nic . . . . .	50
5. Na wschodzie dniała . . . . .	52
6. Prawda . . . . .	54
7. Tyś prochem jeno . . . . .	57
8. Spokojnie . . . . .	61

### V. ZŁUDZENIA.

1. Płyną słońca żywe zdroje . . . . .	65
2. Nad chatami drzemiącemi . . . . .	66
3. Sen skrzydłami serce muśnie . . . . .	67

### VI. DUM SPIRO-SPERO.

1. Żóraw . . . . .	71
2. Jutro . . . . .	73
3. Tęsknota za lotem . . . . .	74
4. Zbudź się . . . . .	75
5. Cóż mam z tobą począć . . . . .	76
6. Trjolety . . . . .	78
7. Porwał mnie wicher . . . . .	79



VII. DZIEWIĘCIOSIŁY.

1. Słońce . . . . .	83
2. Mogiła . . . . .	84
3. Zorze . . . . .	85
4. Mądrość życia . . . . .	86
5. Jarzębina . . . . .	87
6. Liście . . . . .	88
7. Samotność . . . . .	89
8. Leki . . . . .	90

VIII. A W GÓRZE GWIAZDY SIĘ ZŁOČĄ.

1. Po co tam idę? . . . . .	93
2. Czy dziw, że pomnę? . . . . .	94
3. Polatują kruki nade mną . . . . .	94
4. Na umęczoną moją skroń . . . . .	95
5. Pięścią się bramy złociste otwiera . . . . .	96
6. Córka nieszczęścia i niewoli . . . . .	96
7. O, ty, słońce moje . . . . .	96
8. Czernią się sosny . . . . .	98
9. Taka już ludzka dola . . . . .	98
10. Serce moje żyzna gleba . . . . .	99
11. A idziemy w dal . . . . .	100

IX. HISTRJON.

X. VARIA.

1. Paż . . . . .	105
2. Orzeł . . . . .	107
3. Wigilja . . . . .	108
4. Rok Nowy . . . . .	109
5. Zdawało mi się . . . . .	110
6. Niech będą smutków dni błogosławione . . . . .	112
7. Walka . . . . .	113
8. Ty jesteś z tych, co jeszcze Termopili bronią . . . . .	114

9. Ave . . . . .	115
10. Chmury . . . . .	117

*XI. TEMPI PASSATI.*

1. O serce . . . . .	125
2. Pragnienie . . . . .	126
3. Rozkaz . . . . .	127
4. Tempi passati . . . . .	128
5. Żebyś ty odszedł . . . . .	130
6. I ty przemienisz . . . . .	131

*XII. CIEN SZCZĘŚCIA.*

1. Nie zwyciężył mnie smutek . . . . .	135
2. A gdy przepomnę dawnych strat . . . . .	135
3. Nienasyconym stał się duch . . . . .	136
4. A jeśli pragniesz szczęście zbudzić . . . . .	137

*XIII. ZESCHŁEJ RÓŻY GAŁĄZECZKA.*

1. Jabłonka . . . . .	141
2. Śnienia (I, II, III) . . . . .	142
3. Pamiątki . . . . .	144
4. Wspomnienie . . . . .	145
5. Śny . . . . .	146
6. Niepewność . . . . .	147
7. Śpij w spokoju . . . . .	148

*XIV. PO ZGAŚNIĘCIU PŁOMIENI.*

1. Bywają gwiazdy złe . . . . .	151
2. Pamiętaj, że na wieki . . . . .	151
3. Jak winogrodu wędnący liść . . . . .	152
4. Zdeptane kwiaty mrą . . . . .	152
5. Śpią dzwony . . . . .	153
6. Po zgaśnięciu płomieni . . . . .	153

XV. ROSY PORANNE.

1. Przysięgam jako przed ołtarzem . . . . .	157
2. Lubię lekkie barwy świtu . . . . .	157
3. Coś mnie woła . . . . .	158
4. Miałam piękny sznur pereł . . . . .	158
5. Nikt nie słyszał pieśni tej . . . . .	158
6. Ach, droga ciężka . . . . .	159
7. Jak płomienia cudne kwiaty. . . . .	159
8. W lampie rzeźbionej z alabastru . . . . .	160
9. Niechaj gwiazdy pogasną . . . . .	160

XVI. EROSY WIECZORNE.

1. Cięż . . . . .	163
2. Lilije . . . . .	164
3. Śnieg . . . . .	165
4. Daremność . . . . .	166
5. Na cmentarzu . . . . .	167
6. Noc majowa . . . . .	168
7. Słowa . . . . .	169
8. W świątyni . . . . .	170
9. Zamiana . . . . .	171
10. Gwiazdy-Mysli . . . . .	172

XVII. REFLEKSJE PEJZAŻOWE.

1. Topole . . . . .	175
2. Marzenia . . . . .	176
3. Granice . . . . .	176
4. Bajka . . . . .	178
5. Na jeziorze . . . . .	179
6. Widmo . . . . .	180

XVIII. W ALPACH.

1. Potok . . . . .	183
2. Obłok . . . . .	184

3. Przepaść . . . . .	185
4. Jezioro . . . . .	186
5. Noc . . . . .	187
6. Poranek . . . . .	188
7. Droga . . . . .	189
8. Szczyt . . . . .	190

*XIX. WIZJE.*

*XX. IN MEZZO DEL CAMMIN DI NOSTRA VITA.*

1. Westchnienia . . . . .	197
2. A kiedy lecą wichry bardy . . . . .	199
3. Wiem, że jesteś . . . . .	200
4. Zjaw się . . . . .	201
5. Bądź pozdrowion . . . . .	202
6. Jeśli pragniesz snu—będę ci snem . . . . .	203
7. Klejnoty . . . . .	204
8. Kołysanka . . . . .	205
9. Przez oczy twoje . . . . .	207

**INSTYTUT**  
**BADAŃ LITERACKICH PAN**  
**BIBLIOTEKA**  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63















F

3679